

3 Sopot'91 od kulis 4 Wydarzenie w „Zachęcie” 5 Oszczędnościowa produkcja średniaków
6 „997” – program niebezpieczny 7 Akordy fałszywej praworządności 16 „Grom” – nowa powieść

Łódź Odgłosy

Nr 17 (1702)

Rok I (XXXIV)

15 września 1991 r.

Cena 3000 zł

Cholera, znowu biją!

BIAŁYSTOK
2 września 1991 r. godz. 4²⁵
czytaj str. 7



Koneserom dobrej kuchni i smakoszą

Restauracja
– Cocktail-
Bar



LYON

poleca dania kuchni francuskiej. Aby zaspokoić życzenia naszych Konsumentów posiadamy duży wybór win francuskich.

*Lokal nasz mieści się przy ulicy
Piotrkowskiej 103/105*

i czynny jest codziennie w godzinach 8.00-24.00.

Pod numerem 32-37-77 przyjmujemy telefoniczną rezerwację miejsc. Na zamówienie organizujemy kameralne przyjęcia i wystawne bankiety. Gwarantujemy obsługę kelnerską na najwyższym poziomie.

**BON APPETIT I DUŻO MIŁYCH
WRAŻEŃ ŻYCZY PAŃSTWU**

Dyrekcja



U nas kupisz taniej!

**HURTOWNIA ARTYKUŁÓW ELEKTRYCZNYCH
JUST-AMICO**

Łódź,
ul. Duńska 1,
tel. 52-12-02

„DAMIS”

bezpośredni importer – poleca:
ARTYKUŁY I ZABAWKI DO
ROBIENIA ŻARTÓW, m.in.

- znikające atramenty
- sztuczne kupy
- brudzące mydła
- tańczące puszki

**Łódź,
tel. 56-01-88**

● I OKOŁO 180 INNYCH
ATRAKCYJNYCH ZABAWEK
TEGO TYPU



● Rząd wniósł pod obrady Sejmu projekt konstytucyjnej ustawy o nadaniu rządowi specjalnych uprawnień. Według tych uprawnień rząd mógłby wydawać dekrety z mocą ustawy. Nadzwyczajne uprawnienia przez – co najmniej – dwa miesiące zachowałby nowy rząd powołany przez Sejm RP wybrany w wolnych wyborach. Rządowy projekt nadzwyczajnych uprawnień spotkał się z krytyką i zastrzeżeniami większości klubów i posłów zabierających głos. Z krytyką też spotkała się teza premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego, wedle której trzeba demokrację ratować przed anarchią przez ograniczenie demokracji. Jeden z posłów powiedział wręcz, że po wprowadzeniu nadzwyczajnych uprawnień dla rządu przed wyborami nowy Sejm RP, który ma być wybrany okaże się „piękną, demokratycznie wybraną atrapą”. Niektórzy wręcz mówili, że jest to zamach stanu dokonany ręką Sejmu na wniosek rządu. Klub PSL proponował wręcz odrzucenie tego projektu. Inni byli za ograniczeniem nadzwyczajnych uprawnień tylko do spraw związanych z budżetem państwa. Sejm rządowy projekt ustawy odesłał do komisji.

● Stefan Kisielewski na łamach tygodnika „Wprost”: – „Muszę przyznać, że ostatnią wizytą „Ojca Świętego w Polsce byłem zawiedziony. Wszak upadł marksizm, najbardziej antyreligijna koncepcja świata, która przeciw części tego świata jeszcze rządzi. Przy czym nie chodzi tu tylko o politykę, ale i o najgłębszą filozofię. Obawiam się, że z podobnym uczuciem – zawodu – opuściła Częstochowę młodzież. Owszem, odbył się wspaniały festiwal. Owszem, otrzymano niepowtarzalną okazję bycia razem z Ojcem Świętym. Ale czy tylko po to niektórzy z uczestników spotkania pokonali po kilka, kilkanaście tysięcy kilometrów, a inni po kilkadziesiąt czy kilkaset?”. Trzeba być Kisielem, aby mieć odwagę stawiania takich pytań!

● W „Expressie Ilustrowanym” Krzysztof Zajac rozmawia z zielonoświątkowcem Ryszardem Wójciakiem. Rozmowa odbywa się w cyklu: „Łódź, jakiej nie znacie”. Już pierwsze pytanie bulwersuje: – „Czy można sprzedać duszę diabłu?” – Oto odpowiedź Ryszarda Wójciaka: – „Jest to możliwe. Jednak wielu ludzi posiada moc od demonów, choć nigdy świadomie nie oddawali się diabłu i nie zawierali z nim żadnych paktów. Poszukiwali siły pozwalającej im czynić rzeczy nadprzyrodzone, niepojęte i mimowolnie oddali się we władzę szatana”. Inne pytanie: – „Co pan sądzi o mocy Anatołija Kaspirowskiego?” – „Uważam, że jego siła pochodzi również od szatana”. Ryszard Wójciak jest lekarzem. Oto jego poglądy na pochodzenie chorób: – „Szatan zaś zsyła choroby, którą może także odjąć. Oczywiście nie neguję faktu przenoszenia chorób przez wirusy lub bakterie. Szatan jest tu swoistym pośrednikiem działającym w niektórych tylko przypadkach chorobowych”. Jest to rzeczywiście Łódź, jakiej nie znamy. Łódź, do której wróciło średniowiecze.

● „Express Ilustrowany” doniósł, że ruch naturystyczny ulega likwidacji. Prezes Stowarzyszenia Naturystów Polskich Józef Kubicki wyraził opinię, według której polski naturyzm zmierza w złym kierunku. Amatorzy opalania się nago, zamiast zabawy i relaksu, zaczynają podkreślać erotyczne aspekty tego ruchu. Można było się tego spodziewać, że opalanie się nago stanie się niewygodne dla Polski, która chce być wzorem chrześcijaństwa dla całej Europy. W takiej Polsce opalać się nago będą mogli tylko ludzie bogaci, których stać będzie na to, aby udać się do pogańskiej Europy, gdzie kluby naturystyczne są dobrze zorganizowane i wyposażone. Żegnajcie Chałupy!

Z braku pieniędzy w państwowym skarbcu wraca się do starych, dobrze wypróbowanych metod. ZJM tak to komentuje:

W emeryturach nowa moda,
Jednym się weźmie, drugim doda.
Marks się z Engelsem w grobie rusza:
– To nasza szkoła! – Hulaj dusza!

● W Gdyni zmieniono nazwy szkół. Jedna ze szkół nosiła tam imię „Czerwonych Kosynierów” – robotniczych batalionów, które bez broni palnej broniły Gdyni w wrześniu 1939 roku i tak się nazywały. Kosynierem tym odebrano barwę: „Czerwoni”. Została biała plama!

● Do wsi Sobowo w województwie wrocławskim luksusowy helikopter „Bell” – którym latał Jan Paweł II podczas IV Pielgrzymki do Kraju – przywiózł Pana Prezydenta na pogrzeb jego ciotki. Danuta Wałęsowa przyjechała samochodem. Prezydent Lech Wałęsa złożył wieniec na grobie ciotki oraz pochowanych na tym cmentarzu rodziców. Na wieniec dla ciotki widniał napis: „Kochanej Ciotki – Prezydenta RP”.

B.M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy”
Radaktor naczelny Mirosław Kuliś
Wydawca: „Odgłosy-Press” S.C.
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
☎ 36-52-44
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Setki książek szpiegowskich, kryminalnych i sensacyjnych, jakie pojawiają się na naszym rynku od kilkunastu miesięcy, służą – jak się okazuje – nie tylko rozrywce. Inspirują przecież także i inne sfery życia Rzeczypospolitej. Pośród autorów, których wprowadzili na polski rynek wydawcy, prym wiede niejaki Ludlum: ten to potrafi potęgować suspense, wikłać fabułę i zaskakiwać niespodziewanymi zwrotami akcji. Mistrz nad mistrze! Nie dziwota też, że znajduje naśladowców nawet tam, gdzie nikt by nie przypuszczał.

Oto Jerzy Waldorff podał do publicznej wiadomości, iż starszowie i emeryci zostali wysłani pod Belweder przez Miodowicza, który przedtem nafašzerował ich był heroiną. Czyż inaczej odważyliby się żalić na niskie emerytury?! Mieliby odwagę krzyknąć: „Kuroń wróć!” i deprimować Pana Prezydenta – rozważał w TVP ten ulubieniec Jerzego Urbana.

Zawaliła się najwyższa budowla na świecie, czyli maszt radiostacji Polskiego Radia pod Gabinetem. Tak sama z siebie? Po prostu? Podczas bezwietrznej pogody, choć wytrzymała największe tegoroczne burze? Ale skąd! Krzysztof Król z Konfederacji Polski Niepodległej wydedukował natychmiast i bez wahania: upadek masztu to robota KGB i puczystów z Moskwy, którzy obawiali się śmiertelnego niebezpieczeństwa jakie mogło im grozić ze strony redaktorów dzienników radiowych z Warszawy.

Masztr runął z hukiem a nazajutrz zamilkła radiostacja w Rasynie: i ją popsuł jakiś zakonspirowany w Radiokomitecie kagiebiasta – rozwija intryge „Głos Poranny” piórem Jerzego Pińskiego domagając się szczegółowego śledztwa. Już wiemy zatem dlaczego nasze radio nie zdołało pomóc Michajłowemu Siergiejewiczowi.

KPN, cokolwiek by o tej partii sądzić, zawsze trzyma rękę na pulsie i jeszcze niejednokrotnie usłyszymy z ust jej liderów, o nowych składach broni, o skrytobójczych zamachach, o rezydenturach, albo choćby o dotkliwych i krwawych pobicjach jak (ostatnio) w oświad-

Sejm, dopiąwszy swego, był szczerze zdumiony, a nawet wstrząśnięty tym, co się stało.

Gdy posłanka Wiesława Ziółkowska zgłosiła wniosek o odwołanie całej Rady Ministrów, z jednoczesnym powierzeniem jej pełnienia obowiązków do czasu powołania nowego gabinetu, miała to być demonstracja braku zaufania do polityki gospodarczej rządu. Być może, jak sądzą niektórzy publicyści, wszystko to było z góry ukartowane, zaś posłanka Ziółkowska wywołała „temat dymisji” premiera Bieleckiego po to, aby w efekcie rząd się umocnił. Hipoteza to jednak wątpliwa, gdyż głosowanie nad przyjęciem bądź odrzuceniem dymisji gabinetu wcale nie było przesądzone na korzyść rządu, zaś pomyłka w kalkulacjach zbyt drogą mogła kosztować. Przypomina o tym Janina Paradowska w „Polityce” (36):

„Układ sił jaki się zarysował wskazywał, że rząd może być obalony. PKLD, PSL oraz Klub Pracy były za odwołaniem. Dawało to ponad 200 głosów. Nieco mniej było przeciwników dymisji. OPK i Unię wsparto SD, rząd mógł też liczyć na wojskowych i mniejsze ugrupowania. Przypuszczano, że wszystko rozstrzygnie się kilkoma głosami, a wynik, jak to się ostatnio już w Sejmie zdarzało, będzie przypadkowy. Albo przypadkiem rząd pozostanie, albo zostanie odwołany. Też przypadkiem. Sytuacja z pogranicza absurdu.

Próbowała ją ratować Unia Demokratyczna. Prof. Geremek zgnił poseł Ziółkowską i zgnił premiera Bieleckiego, poprosił jednak, aby obie strony wycofały wnioski. Propozycja ta miała wszystkie zalety prócz jednej – była nie do wykonania”.

Pomimo niekorzystnego dla rządu układu sił w parlamencie, premier postawił wszystko na jedną kartę. Nie przeliczył się:

„Jeżeli rząd chciał coś wygrać i wzmocnić swoją pozycję, musiało dojść do głosowania. Ostateczny wynik był dla rządu zaskakująco dobry: po szumnych zapowiedziach tylko 114 posłów głosowało za dymisją. Posłanka Anna Dynowska, która liczyła głosy mówią, że dziwiła się niezmiernie jak dużo z tych, co mieli być przeciwnikami rządu głosowało za nim. Dla spokoju sumienia na kartkach dopisywano różne opinie. Bardzo źle pisano o Balcerowiczu i programie gospodarczym. Te dopiski nie mają jednak żadnego wpływu na ostateczny wynik.

W kuluarach panowała dość powszechna opinia, że Sejm się skompromitował. Przez dwa tygodnie „dokładał” rządowi, nie zostawił na nim suchej nitki, a potem spokojnie go utrzymał”.

Opinia taka zapanowała nie tylko w kuluarach Sejmu. Wyraziła ją duża część prasy w Polsce – m.in. Jolanta Makowska w „Przeglądzie Tygodniowym” (36):

„Z sejmowej mównicy tomatano w rząd najcięższymi zarzutami i oskarżeniami. Kiedy jednak zdołano wreszcie przekonać premiera Bieleckiego, że on i jego rząd nie nadają się do niczego, okazało się, że Sejmowi wcale nie o chodziło. Więcej – Sejm, dopiąwszy swego, był szczerze zdumiony, a nawet wstrząśnięty tym, co się stało. (...)

Poseł Włodzimierz Cimoszewicz, choć z fasonem podtrzymał wniosek o dymisjonowanie rządu, przyznał jednak, że jego klub chciał dymisji gabinetu, ale nie takiej. Chodziło nam nie o demonstrację polityczną rządu – wyjaśnia li-

Ludlumy

czeniu o akcji policji w białostockim MPK. A może i tam sięgnęły macki czerwonych terrorystów, mogli np. popsuć wszystkie kasowniki doprowadzając w ten sposób do finansowego bankructwa komunikacji w Białymstoku, czym wywołali strajk i wielomiesięczne zgryzoty Pan wojewoda. A czy Cimoszewicz, który stamtąd się wywodzi, jest tak całkiem bez winy?

Jakby jakie fragmenty z Ludluma właśnie, „Polityka” i „Gazeta Wyborcza” przedrukowały wyimki z książki Czesława Kiszcza. Tymczasem są to anegdody, choć niektóre fakty mogą zastanawiać, jak np. ten o odczynie instauracji przez SB filii „Solidarności walczącej” w każdym większym mieście. Do tej pory nikt nie zaprzeczył, nikt się nie oburzył i nikt nie zamierza byłego ministra podawać do sądu. Może więc dobrze, iż uciłcha sprawa z odtajnieniem list byłych współpracowników służb specjalnych MSW? Mniej rozczarowań a legendy trwają.

W każdym razie wyobraźnia i pomysłowość naszych parlamentarnych szermierzy nie słabnie. Zaryzykowałbym nawet taką prawidłowość: czym bardziej na prawo, tym konfabulacje bardziej wymyślne, czym większy orędownik chrześcijańskiej moralności, tym zmyslenie grubsze.

Panowie posłowie, Gil i Jurek (znowy duet?), pomyśleli sobie, że może przy okazji nieudanego puczu w Moskwie da się umoczyć SdRP, która gotowa mieć lepszy, niż ich organizacje, wynik w wyborach państwowych. Jak pomyśleli, tak i zrobili ogłaszając, iż szefowie tejże partii kontaktowali się z bandą ośmiu tuż



der lewicy – ale o to, aby premier Bielecki przyznał się do winy, zrozumiał wreszcie na czym polegają jego błędy i – po przedstawieniu korekty swego programu – nadal pełnił swoje obowiązki. Autorka politycznego zamieszania, posłanka Ziółkowska była tego samego zdania. Wyznała dziennikarzom, że tak naprawdę, to wcale nie chciała i nie zamierzała zmieniać tego rządu na inny, a jedynie uzyskać jego publiczne wyznanie win i mocną obietnicę poprawy. Ba, nawet-koś tak rozsądny jak poseł Andrzej Miłkowski, powiedział w wywiadzie radiowym, że parlamentarne wotum nieufności wobec rządu nie miało charakteru merytorycznego i decyzyjnego, że Sejmowi chodziło o nacisk moralny.

Nie ma powodu, aby nie wierzyć tym poselskim zapewnieniom i wyjaśnieniom. Od wielu już miesięcy obserwujemy istniejący w Sejmie i wciąż się pogłębiający rozróż między sferą wypowiedzi słów a sferą rzeczywistych działań i decyzji. Posłowie przyzwyczaili się do sytuacji, w której mównica parlamentarna, mikrofon radiowy i telewizyjna kamera służą głównie tworzeniu ich publicznego i wyborczego image, a nie prezentacji i wymianie rzeczowych argumentów”.

Inne aspekty niedawnej próby sił w parlamencie porusza Elżbieta Sadowska w „Wokandzie” (36):

„Niewątpliwą korzyścią wszystkich tych manewrów jest to, że doszło do niewielkiego zbliżenia postsolidarnościowych ugrupowań. Zgodnie odrzucili dymisję, choć nadal różnią się w poglądach odnośnie głównego architekta polskiej gospodarki. UD, jak mi mówiono, gra z Balcerowiczem, a PC z Adamem Glapińskim. Czy dojdzie do zgody – pokaże najbliższa przyszłość”.

Elżbieta Sadowska kończy swój artykuł następująco:

„Czy z tej próby sił rząd premiera Bieleckiego wyszedł istotnie wzmocniony? Zdaniem posła Cimoszewicza absolutnie nie, zdaniem innych, jednak tak. Teraz, sugerowano, dopiero będzie poczynił sobie Sejmem i narzucił mu swoją wolę. A jeśli do tego wyposaży się go w specjalne uprawnienia, nie będzie się w ogóle z parlamentem liczył, co na pewno spodoba się praf. Brzezińskiemu, ale nie posłom”.

Janina Paradowska, cytowana już przeze mnie autorka „Polityki” uważa, że należy się spodziewać kolejnej rozgrywki, w której rząd nie może tym razem liczyć na większość w Sejmie:

„Kryzys, który nieostrożnie sprowokowała posłanka Ziółkowska, nie zakończył się. Następna próba sił, choć może nie tak dramatyczna (czy surrealistyczna? – jak powiedział premier) może zdarzyć się podczas każdego kolejnego

przed puczem. A po co? Głupie pytanie! Ci, którzy będą chodzić na odpowiednie spotkania przedwyborcze usłyszą setki odpowiedzi z wciąż do nowymi szczegółami. Tu, przy tej samej okazji, chcę poddać pod rozważę rodzimym Ludlumom trop jeszcze jeden: oto w lipcowym numerze „Wprost” ukazał się był wywiad z szefem KGB Kriuczukowem. Tak sobie? Niby to przypadkiem? „Rzucam wam myśl, a wy go goncie” – jak mawiano przed laty. Redaktor naczelny poznańskiego tygodnika też chyba gdzieś kandyduje?

A Bronisław Geremek, przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych w naszym parlamencie, tuż przed puczem nie zbierał gdzieś grzybów przy sowieckiej granicy? Nie puszczał lusterkiem zajączków na drugą stronę? (czym podważał autorytet belwederskiej kancelarii, osłabiał prestiż Porozumienia Centrum i nastawał na niepodległość?). Rzecz do analizy. Moczymy w kremleńskim sosie SdRP, a przecież Unia Demokratyczna gotowa wygrać wybory, a wtedy co? Żegnaj kancelario? Pan Prezydent już to przyobiecał.

Zda się rywalizować z Ludlumem także wicewojewoda sieradzki, który na łamach tamtejszego „Gońca” oświadczył, że to Gorbaczow współorganizował „co najmniej kontrolował” zamach na samego siebie „bo miał najniższe notowania w opinii i chciał podreperować swój image w społeczeństwie”. Znając oceny społeczne nt. władzy w Sieradzu możemy wkrótce i tam spodziewać się puczu. Na jego czele stanie pan wicewojewoda reperując image urzędu?

Przed wyborami jeszcze niejedną sensację usłyszymy. Ludlumy w sztabach partyjnych pracują pełną parą. Jacek Kuroń zapowiadał wprawdzie, że będzie śmieszniej, ale i on nie mógł przypuszczać, że aż tak.

Grzegorz Gazda

posiedzenia. Kryzys ma dwa podstawowe wymiary: dotyczy systemu sprawowania władzy w Polsce i kierunku reformy gospodarczej.

Ile władzy dla Sejmu? Ile dla rządu? Ile dla prezydenta? Lech Wałęsa o dekreтах dla rządu mówi od dwóch lat, w czerwcu rząd premiera Bieleckiego przygotował nawet projekt odpowiedniej ustawy konstytucyjnej. Nie wniósł go do Sejmu, bo Wysokiej Izbie udało się wówczas przyspieszyć prace. Jak się okazało, na krótko. Problem specjalnych uprawnień i skutecznego działania władzy wykonawczej powraca w o wiele gorszej atmosferze. W Sejmie dać powszechnie jest przekonanie – żadnych dekretoów dla tego rządu i tej polityki gospodarczej. Chyba, że w zamian za ustępstwa”.

Być może jednak Sejm się ugnie? Wszak nie zostało mu już zbyt wiele czasu: wkrótce wybory. Przygotowania do nich, jak pisze we „Wprost” (36) Aldona Łukomska, idą już pełną parą:

„Jeszcze na długo przed wystartowaniem całej wyborczej maszyny rozpoczął się wysięg polityków do kieszeni sponsorów. Najpierw badano grunty i wabiono ofiary. Najczęściej przyjmowało to ogólnikową formę „spotkań z biznesmenami”.

Premier Bielecki, jako szef rządu, ale również lider Kongresu Liberalno-Demokratycznego, raz dowartościowywał wielkopolskich biznesmenów, innym razem spijał szampana na balu „Lion's Club” – skupiającego ludzi interesu z całej Polski. Na zjazd Kongresu zaproszono całą czołowąkę z listy 100 najbogatszych Polaków „Wprost”, ryzykując nawet kąśliwe uwagi jendego z obecnych tam biznesmenów, że „cala ta partia liczy sobie mniej członków niż załoga jednego mojego przedsiębiorstwa”.

Unia Demokratyczna też nie zasypywała gruszek w popiele. Przykładem – kameralne spotkanie liderów partii, z Tadeuszem Mazowieckim i Jackiem Kuroniem na czele – z grupą przedsiębiorców, zorganizowane na warszawskiej Starówce. Choć o pieniądzach nie mówiono wprost, przeznaczenie umieszczonych w hallu tacy na wizytówki było dla wszystkich oczywiste. Odgrywała rolę banku adresów ewentualnych sponsorów w czasie zbliżającej się kampanii wyborczej. Co ciekawe – wizytówek było znacznie mniej niż uczestników spotkania. Zapowiadało to – z jednej strony – rosnącą powściągliwość polskiego biznesu w szastaniu pieniędzmi na politykę, z drugiej zaś – większy niż do tej pory realizm w ocenie korzyści płynących z ponoszenia tego rodzaju wydatków”.

Rzeczywiście, mogli oni mieć w pamięci to, co otrzymali sponsorzy kampanii wyborczej Lecha Wałęsy, czyli – figę z makiem. Ale może tak właśnie być powinno?

AG

Sopot-91 od kulis (2)

Nie każdy wie, że w trakcie festiwalu sopockiego odbywa się jeszcze jeden, całkowicie niezależny i samorządny. Można go określić mianem „Festiwalu Piosenki Spontanicznej”. W buforze dla dziennikarzy nie mieści się tak dużo widzów, jak na ławkach Opery Leśnej. Niemniej o powodzeniu niektórych występujących tam wykonawców świadczy niesamowity tłok przypominający nabite autobusy w godzinach szczytu.

Nieprawdą jest, że w buforze można było dowiedzieć się wszystkiego na temat festiwalu, nie wychodząc na widownię i nie oglądając koncertów, chociaż rzeczywiście zdarzały się i takie przypadki. W tym roku przede wszystkim jedzono i pito, a z pełnymi ustami przecież nie wypada rozmawiać.

Mало tego, po przyjęciach bufetowych, zabierano dziennikarzy np. na pieczonego dzika do leśniczówki.

Udana noona impreza popsuł kierowca wozu, który tak się spil, że dziennikarze i goście musieli wracać chłodnią z resztkami nie dojeżdżonego dzika. Okropność! W całym tym biesiadowaniu zapomniano o kolacji dla zespołu „OMD”, muzyki sami musieli starać się o jakieś jedzenie. Przeczytali, że w Casino-Gdańsk odbędzie się koktajl, więc postanowili tam pojechać. Na samochód czekali godzinę i kiedy wreszcie dojechali - wszystko było zjedzone.

Siedząc na porannej próbie drugiego koncertu festiwalowego. Balagan. Jedni szukają drugich. Nie ma wykonawców, którzy powinni teraz rozpocząć swoją próbę. Taśmy z podkładami muzycznymi na magnetofonie są ustawione w kolejności. Próbę prowadzi Jerzy Gruza.

- Wracamy do Meksyku.
- Nie ma Meksykanki za kulisami.
- No to może Belgia?
- Nie ma taśmy.
- A gdzie jest?
- Zaraz poszukamy...
- Są Turecy!
- Niech będą.

Niektórzy z konkursowych piosenkarzy przygotowali specjalne koktajle, na których bliżej przedstawiali się dziennikarzom. Meksykańska gwiazda zwierzyła się, że całe życie marzyła, aby przyjechać do Polski, a szczególnie od czasu, kiedy śpiewała w Arizonie na koncercie zorganizowanym na cześć polskiego papieża.

Bertha odśpiewała kilka meksykańskich przebojów, a kelnerzy serwowali napoje i paluszki. Zrobiło się prawie rodzinnie. A co w Operze Leśnej?

Drugi dzień maratonu piosenki. Po dyskotekę z migającymi światłami i bardzo głośną muzyką, poznaliśmy reprezentantów 25 krajów. W buforze dla dziennikarzy serwowano w tym dniu lososia, sałatkę z owoców południowych, szparagi, kruszony i zimne napoje.

Stoły uginęły się pod półmiskami, trunkami, zastawą.

Ktoś trafnie zauważył, że „Uniwersal” starał się dorównać dawnym prominentom, wśród których tylko osławiony Maciej Szczepański demonstrował podobną hojność i wielkopański gest.

A co przygotowano dla gwiazd tegorocznego festiwalu? Niestety, niewiele. Sto tysięcy

gium dziennikarskie.

Nagrody konkursowe punktowano po raz pierwszy w Polsce systemem szwajcarskim, w analogiczny sposób jak to się robi na Telewizyjnym Festiwalu „Złota róża” w Montreux. Każdy z jurorów otrzymał 25 kartek z nazwiskami wykonawców i do dyspozycji miał 10 punktów dla jednego piosenkarza-zespołu. Podliczanie wszystkich punktów odbywało się na komputerze. W ten sposób została wytypowana piątka najlepszych: Anabel z Portugalii, Eita Scolo z Austrii, „Księżyc” z Lotwy, „Dream Police” z Norwegii, „DDD” z Polski.

W przerwie koncertu zagladam do Centrum Prasowego, w którym dziennikarze i fotoreporterzy jedzą, piją, piją, jedzą... A tu jeszcze

Wielkie zarcie z przerwą na śpiewy

dolarów dla wszystkich, w przeliczeniu na osobę dawalo zaledwie 5 tysięcy dolarów, co potraktowane było jako skromne kieszonkowe. Gwiazdy przyjechały na ten polski festiwal z grzeczności dla znanego europejskiego programu telewizyjnego MTV, który realizując ich sopockie teledyski zapewniał znakomitą reklamę i promocję. Sympatię dla polskiej publiczności było tu znacznie mniej aniżeli by się to wydawało. Polska publiczność nie kupuje przecież ich płyt i kaset, a pirackie nagrania przynoszą światowym wykonawcom tylko straty.

Największą indywidualnością tegorocznego festiwalu była bezspornie Alison Moyet, co podkreślał prosty strój i niedbala fryzura.

Bracia „Bros” przekonali się, że w Polsce też mają liczne wielbicielki. Nastolatki potrzebują nastoletnich idoli. Niestety idole starzeją się wyjątkowo szybko (to nie odnosi się jeszcze do „Bros”), ale zastanawiano się - czy dojrzalsi obecnie zdolają utrzymać dawną popularność?

Jimmy Somerville od ub. roku z powodzeniem kontynuuje karierę na własny rachunek. W jego muzyce nadal pozostaje wyczuwalna euforia płynąca z radości życia i tańca, które, jak sam przyznaje, stanowią dla niego wielką inspirację do pracy. „Erasure” to rzeczywiście wyjątkowo oryginalne dziwadelka sceny rockowej.

I znów spotykamy się na wspaniałym przyjęciu w Centrum Prasowym. Tym razem dania, zakąski i napoje serwuje prywatna restauracja „Cristal” z Gdańska-Wrzeszcza.

W ferworze jedzenia nie było kiedy i jak wybrać laureata nagrody dziennikarzy, może dlatego otrzymał ją zespół z Lotwy „Księżyc”, wybrany ostatecznie przez 10-osobowe kole-

przewodniczący Tomasz Raczek przechodzi ze zdobyciami Grand Prix, wypada więc przerwać jedzenie i o coś ich zapytać...

- Czy spodziewaliście się nagrody?
- Tak stwierdzają „Księżyc”
- Jak zamierzacie ją wykorzystać, przecież to duże pieniądze?
- Jeszcze nie wiemy, ale na pewno będą prezenty dla dzieci.
- Dolarów wydacie na Lotwie czy w Polsce?
- Jedziemy do Danii, więc może tam...

Kończy się konferencja z laureatami, o tu nagle prosi o głos wielki pokonany (teżolowy kandydat do Grand Prix) Marek Sośnicki z zespołu „Tamerlane”. Chce złożyć oficjalny protest. Jak się dowiadujemy, zniknęły w tajemniczych okolicznościach taśmy z podkładami muzycznymi zespołu „Tamerlane” i zespół zmuszony był śpiewać z playbacków. Jury uznawało wylaczenie wykonawców śpiewających na żywo.

- Ale w Opolu też śpiewaliście z playbacków - krzyczy dziennikarz opychając się lososiem z kawiorem.

- Owszem, ale w Opolu był jeszcze większy balagan niż w Sopocie i nikogo nie było slychać ze sceny.

- Przepraszam - dodała sliczna, młodzieńka dziennikarka Edyta Suchacka ze Szczecina - ale my tu mamy laureatów.

„Sopot 91” nie przyniósł organizatorom i sponsorom strat. Ale warto jako ciekawostkę odnotować, że nie figurował w kalendarzu imprez artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Bohdan Gadomski

UWAGI SCEPTYKA



W zmianej historii o zwierciadła borsuk spotykając uciekającego i bardzo wystraszonego zająca pta.

- A czemu to drogi kolego taki zdenerwowany i pedałujesz na oslep przed siebie?

- Okropnie rzecz się dzieje - odpowiada zdyszany uciekinier - za lasem chociaż Indzie, szukają wielbłądów i jak którego złapią, to obcinają mu uszy i w mniej eleganckiej wersji tej bajeczki zajączek wie, że chodzi o zupełnie inną część ciała, bez której trudno o jakikolwiek względy i u pani wielbłądowej, i u pani zajączkowej.

- Ależ ty przecież nie jesteś wielbłądem! - drwi sie borsuk.

- Oczywiście, masz rację borsuku, gdy jednak cie złapią i rzekną, że jesteś wielbłądem i udowodnij, o ile będziesz miał na to czas, że tak wcale nie jest i że nie jesteś garbany. Robienie w wielbłąda to klasyczny sposób dezinformacji w środkach masowej komunikacji. Na przykład na pierwszej stronie gazety, pod tytułem złożonym wielkimi literami, przeczytasz Szanowny Czytelniku, że widziano cie bez koszuli, która maskujesz swoją prawdziwą sylwetkę i jako żywo, wszystko wskazuje na to, choć sam o tym nie wiesz, żeś wielbłąd. Przedstawisz dowody wykazujące absurdalność takiego podejrzenia, to ostatecznie na szóstej stronie, wśród ogłoszeń drobnych zamieszczą najwięcej za cenioną sprostowanie, ale co poszło w świat to poszło. I potem dźwisz się Czytelniku, dlaczego tyli ludzi z zainteresowaniem ogląda twoje plecy i w rozmowie zagaduje o to czy ciekko się biega po piasku, albo wspólnie ci

trudnych warunków życia na pustyni.

Sam doszukałem tej metody, gdy mój polemista o kwestii Klerkalizmu, przypisał mi tyle różnych zaradzeń, że mógłbym po ulicach Łodzi chodzić już nie jako wielbłąd, ale wręcz jako wilkolak. I co w takiej sytuacji czynić? Dawać łowo honoru, że tak nie jest, nosić na pierściach i plecach tabliczki z orzeczeniem stosownej komisji, że nie jestem ani wielbłądem, ani wilkolakiem? Machinalem na to reka, wierzę bowiem w zdrowy rozsadek, ale jednocześnie mam świadomość, że obrona przed pomówieniem, plotką czy insynuacją jest sprawą bezradną. Dlatego też jest to narzędzie groźne i niezwykle łatwe w użyciu.

Robienie w wielbłąda to ulubiony chwyt w walce politycznej. Dusię przypomnieć ostatnie wybory prezydenckie w Polsce, kiedy jeden z kandydatów, były redaktor katolickiego czasopisma spotkał się z zarzutem, że pochodzenie ma coś nie takie, na dromadera wygląda i choć znalazł się specjalista, który wywiłdł, że dziesięć pokoleń wstecz w tej rodzinie wielbłąda nie było, to przecież pomówienie stało się faktem. Mało tego, żyje on własnym życiem, czego dowodem może być choćby plakat z podobizną tego człowieka, obecnie kandydującego do

Robienie w wielbłąda

Sejmu, na którym niewidzialna reka dopisała, w swoim mniemaniu, co należy sadzić o pochodzeniu kandydata.

Najnowszym osiągnięciem „wielbłądologii” stosowanej, czyli robienia w wielbłąda swych oponentów politycznych, jest oswiadczenie pana posła Gila, który z trybunu sejmowego, liderem Socjaldemokracji RP, partii, której widac nie lubi, zarzucił, że według jego informacji widziano ich jak rozmawiali z niektórymi z autorów nieudanego zamachu stanu w Związku Radzieckim. W rozmowie pan Gil nie uczesniczył, ale jest przekonany, że jeśli nie byli oni podlegającami do owego zamachu, to przynajmniej współnikami, gotowymi dopuścić się podobnego bezczeststwa także w Polsce. Sprawa ma się zająć Urząd Ochrony Państwa, przedstawiciele pomówionej partii zapowiedzieli wniesienie sprawy do sądu i oskarżenie o zniesławienie.

Nie wiem jak się cała sprawa zakończy, choć można przewidywać, że będzie mdle i fletami,

prawdopodobnie wyrazi ubolewania z powodu wyrażenia opinii na podstawie niedokładnych informacji. Ale, jak mawiają sprawozdawcy sportowi, wynik idzie w świat. Na tym, kogo obrzucano błotem, jakieś plamy pozostają, ilus ludzi odwołania zarzutu nie usłyszą, a smród wokół sprawy przez pewien czas będzie się utrzymywał. Akurat tyle, ile trzeba, do wyborów.

Jest wśród polskich przysłów i takie, które mówi o tym, że słowo wylatuje piakiem a powraca kamieniem. Stąd jednym z ważnych nakazów regulujących życie zbiorowe jest odpowiedzialność za słowo. Z przykrością należy skonstatować, że odpowiedzialność ta, a także po-wściągliwość w bezmyślnym posługiwaniu się słowem jest nader rzadka w naszym społeczeństwie. Przed kilkoma tygodniami pisałem w tym miejscu o historii i hipokryzji, które wyznaczają łok naszego mowienia o sprawach publicznych. To własnie historia skłania, aby wperw mówić, a potem dopiero pomyśleć co się mówi i z jakim skutkiem, zaś hipokryzja podpowiada, by głosić każda brednię i możliwie często ją powtarzać, jeśli tylko można ją wykorzystać instrumentalnie do własnych celów. Zawsze znajdą się ludzie, którzy w nią uwierzą.

A wracając do naszego zajączka z historyjki, która

rozpocząłem ten felieton - on wie co robi. Uszy ocalić może tylko pod warunkiem, że nie wpadnie w ręce poszukawczy wielbłądów, bo kiedy nie ma wielbłądów prawdziwych, zawsze nasz zajączek może być wielbłądem tytułowym, zastępczym. Jeśli nawet uda mu się udowodnić swoją zajączką genealogię, to nim to nastąpi, uszy może utracić.

Zamiast poityy pozwałam sobie postawić pytanie: czyby renesans miała przeżywać zasada, jaka posługiwali się stalinowscy „prawnicy” - dajcie człowieka, a paragraf już się na niego znajdzie? Wygląda na to, że w Polsce, tu i teraz, może ta zasada mieć nieco zmodyfikowane brzmienie - dajcie mi człowieka, a ja już z niego zrobię wielbłąda i uszy mu obetnę. O wielbłąda zresztą tak naprawdę nie chodzi, rzecz idzie o obcinanie uszy.

Jan Wolborski

PREZENTACJE

Mariusz Kwiatkowski



Dzisiejszy „mistrz twórczy”, jeszcze do niedawna był duszą towarzyskich spotkań łódzkiej bohemy, cennie współpracując z bracia artystyczna spod znaku pióra, pedzła czy kamery filmowej. Choć nawet ludzie z nim zaprzyjaźnieni, rzadko znają popłatania losu Mariusza Kwiatkowskiego.

Przyszedł na świat w Grodnie na krótko przed wybuchem II wojny światowej. Ojciec był oficerem KOP i zdał zbiec przed bolszewikami, ale rodzina „wroga ludu” dostała się w łapy NKWD. Kazano im się zbierać z dobytkiem i w ciągu piętnastu minut powieziono na rampę kolejową. Wyszli z bydlęcych wagonów na jakiejś azjatyckiej stacji kolejowej w pobliżu sowchozu, gdzie uprawiano bawełnę.

W pamięci trzyletniego chłopca zachowało się mało obrazów grozy. Po układzie Sikorski-Stalin dla Polaków przysły nieco lepsze czasy, nie znaczy to jednak, że stali się ludźmi wolnymi. Trzeba było przechytrzyć lokalnych kacyków. Rodzina Kwiatkowskiego przedostała się wprawdzie do Uzbekistanu, ale stamtąd wciąż daleko było do Buzuluku, gdzie stacjonowało dowództwo armii polskiej w ZSRR. A mimo to matka Mariusza potrafiła dotrzeć do sztabu gen. Andersa wyposażoną w ciuchy zbiorowym wysiłkiem kolonii pobratymców. Prezentowała się tak dobrze, że wzięto ją za dziennikarkę z Londynu.

Potem był Teheran, Indie, Uganda. W Afryce Mariusz Kwiatkowski zaczął chodzić do polskiej szkoły.

W 1947 r. przyszedł list z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Odnalazł się ojciec Mariusza. Przebywał w Polsce, mieszkał w Gdańsku. Statek „Asturias” odczołował z Mombasy (Kenia) przywiózł polskich wygnańców do Neapolu. Po luksusowych wnętrzach liniowca baraki obozu w Bari! Dziwnie przypominają sowieckie sowchozy. Że się kojarzyły również bydlęce wagony, które ludowa ojczyzna przysłała po imigrantów. Ale na stacji Zebrałdowiec-Dziedziec jakiś czekający na przybycie transportu porucznik zapytał Mariusza o rodzinę Kwiatkowskich. Był to jego ojciec.

Osiadł w Gdansk, Mariusz zrobił maturę i w 1956 r. zdał egzamin do szkoły teatralnej w Warszawie. Po roku przeniósł się do Krakowa, tutaj zakończył artystyczną edukację. Przez jakiś czas występował w „Płynię pod Baranami”, a potem uzyskał angaż w teatrze polskim w czeskim Cieszynie. Chociaż wystąpił także w paru filmach, nie czuł się aktorem dramatycznym, pociągala go estrada. Uzyskał taką szansę przenosząc się w 1967 r. do Łodzi. Przez dziesięć lat występował także na deskach Teatru Muzycznego.

W 1970 r. definitywnie zrezygnował z pracy etatowej na rzecz trudnej niezależności. Wolny strzelec w tym zawodzie to często pominięta, ale do Kwiatkowskiego uśmiechnęło się szczęście. Współpracował z „Wesołym autobusem”, występował w teatrze estrady Ryszarda Biłogłosekiego, objeżdżał Polskę z kabaretem Zaorskiego i Wolskiego „No to... cyrk”. Kiedy zlikwidowano Stowarzyszenie Twórców Kultury związał się ze Stowarzyszeniem Artystycznym i trafił do programu „Makutra”. Jakoś sobie radził na tle takich gwiazd jak Stempowski czy Kmiećka, chociaż uważa się tylko za „rzemieślnika”.

„Twórcza emerytura”, którą otrzymał niedługo, dała mu prawdziwą niezależność finansową, ale wciąż go ponosi temperament. Czy może zresztą odmówić przyjaciółom? Dlatego w dalszym ciągu uczestniczy w wielu głośnych imprezach na rzecz miasta. Nie zabrakło go w „Pralni u Scheiblera”, nie wstydził się także wystąpić ostatnio „pod pretekstem”, gdzie zakulał w dyby łódzkiego paradyś Tadeusza Marka. Rzetelne rzemiosło jest mu zawsze przepustką i gładem.

Nawet w czasach „spatoflowskich” nie nadużywał mocnych trunków, ostatnio jednak popija głównie herbatę. Portfel, zółdek czy samochód? Kto potrafi sprawdzić przebiegłego „emeryta”?

K.F.

Kto był w „Zachęcie”?

Takich tłumów na wernisażu nie pamiętają nawet najstarsi bywalcy. Ale też i nie było dotychczas takiego wernisażu. Rozesłano 4 tysiące zaproszeń. Przybyło kilkanaście tysięcy osób. Już na godzinę przed otwarciem wystawy hol „Zachęty” wypełniony był po brzegi. Ci, którym nie udało się wcisnąć do środka, cierpliwie czekali na zewnątrz, podejmując od czasu do czasu próby przebicia się przez kordon bramkarzy. Przedstawiciele firmy SET nie mieli jednak względów dla nikogo.

1 - *Blagam, niech mnie pan wpuści, tam są moje prace* - bezskutecznie próbował coś wskórać któryś z artystów.

- *A co mnie to obchodzi* - obojętnie odpowiadał bramkarz, nie zwracając uwagi ani na znane twarze, ani na identyfikatory, wyróżniające przybyłych z zagranicy gości - autorów prezentowanych wewnątrz prac.

Jesteśmy

Demokratycznie czekali więc na swoją kolej i była pani minister Izabela Cywińska i byli jej podopieczni. Siłami wernisażowych gości dążyło się zrealizować niezły spektakl a może nawet musical. Andrzej Wajda z małżonką Krystyną Zachwatowicz, Beata Tyszkiewicz, Dorothea Stalińska, Danuta Rinn, Maria Fołtyń, Alicja Jachiewicz, Jolanta Lothe, Jerzy Bończak, Małgorzata Potocka, tym razem solo bez Grzegorza Ciechowskiego. Obok świata filmowo-teatralnego reprezentowani byli rzecz jasna plastycy i literaci. Byli także politycy. Zauważono Tadeusza Mazowieckiego i Mieczysława Rakowskiego. Słowem - wielki świat.

Tłum falował usiłując zdobyć lepsze pozycje, piszczały nierozważnie zabrane dzieci a na schodach brylował przybyły wprost z Nowego Jorku Janusz Głowacki w towarzystwie pięknych kobiet.

Czekając tak na wejście do przybytku sztuki niejedni zapewne pomyśleli: jakich to czasów dożyliśmy - wieczorowe kreacje, zapach drogich perfum, blask biżuterii a koleżka jak za najlepszych czasów w mięsnym tuż po dostawie świeżego towaru. Bardzo to optymistyczna refleksja w tych ciężkich dla kultury czasach.

Emocje sięgnęły zenitu tuż przed godziną osiemnastą. Wśród zgromadzonych przed „Zachętą” spekulowano, na kogo jeszcze czekamy. Ministra Marka Rostworowskiego widziano już ponoć w środku, musiał to więc być ktoś ważniejszy. Może sam prezydent Wałęsa? Nie, jest w Częstochowie na dożynkach. Za chwilę wszystko było jasne.

- *Przejdźcie dla naszych oficjeli, przejdźcie dla naszych oficjeli* - krzyczeli ochroniarze torując drogę premierowi Janowi Krzysztofowi Bieleckiemu, marszałkowi Senatu Andrzejowi Stelmachowskiemu i przedstawicielowi Kancelarii Prezydenta Szymonowi Pawlickiemu. Niektórzy głośno wyrażali żal, że zabrakło Piotra Szczepanika.

Zrobiło się wzniosłe i wzruszające. Padły wielkie słowa. W przemówieniach odwoływano się do wieszczów: Mickiewicza i Norwida. Szymon Pawlicki odczytał postanie Lecha Wałęsy:

„Witajcie, jesteście w domu. Z wielu powodów, często nie z waszej winy, byliście nieobecni w kraju, tworzyliście poza ojczyzną. Byliście ambasadorami polskiej kultury, a ta zawsze jest

jedna, niezależnie od tego, gdzie polski twórca przebywa. Dobrze przysłużyliście się Polsce. Dziś, gdy opadła żelazna kurtyna, gdy otwiera się Europa i Świat, wyróżnikiem narodów będzie kultura - jej dziedzictwo, teraźniejszość i przyszłość.”

I na tym skończyła się część oficjalna. Tłum się poruszył i powoli zaczął przesuwać do przodu. Ci z tyłu wyrażali obawy, czy „Zachęta” pomieści tyle osób. Wprawdzie po raz pierwszy wykorzystano także jeszcze surową część nowego budynku galerii, ale to wszystko okazało się za mało. Reprezentacyjne schody szturmowano przez blisko dwie godziny. Ci, którzy weszli, mieli kłopoty z wyjściem. Wewnątrz było coraz ciałniej.

W tych warunkach trudno mówić o zwiedzaniu. Jedynym, któremu udało się zobaczyć wszystko w miarę dokładnie był... premier Bielecki. W towarzystwie komisarzy wystawy, pań: Elżbiety Dzikowskiej i Wiesławy Wierchowickiej, dzielnie przemierzył wszystkie sale. Rozdawał autografy, komentował niedostępną dymisję rządu, przyjmował gratulacje. Kiedy już slaniając się na nogach w biegu udawał się na posiedzenie Rady Ministrów, Elżbieta Dzikowska przypomniała sobie o niewielkiej salce na parterze, tuż koło portierni. „Tej sali panu też nie daruję” - wykrzyknęła i pociągnęła premiera w tę stronę.

Najbardziej zagubieni w tym tłumie wydawali się autorzy prezentowanych prac. Poza rodziną i znajomymi, jeśli takich w Polsce posiadają, nikt nie zwracał na nich uwagi, a ich prace traktowano bardziej jako tło do wylewnych powitań niż dzieła sztuki. Siłą rzeczy, wernisaż stał się bardziej wydarzeniem towarzyskim niż artystycznym. A sama wystawa?

Elżbieta Dzikowska w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” twierdzi, że podstawowym kryterium, które decydowało o kwalifikowaniu prac był ich poziom artystyczny. Jednak nawet po pobieżnym zwiedzeniu wystawy trudno nie odnieść wrażenia, że w wielu wypadkach jedynym powodem dla którego jakieś nazwisko znalazło się na liście uczestników był fakt, że ten, kto je nosi, mieszka za granicą.

Efekt? Poziom od szkolnego do dzieł. Na pewno nie ułatwiło to pracy projektantowi ekspozycji, Janowi Kosińskiemu. Choć niewątpliwie jest to nasz najlepszy specjalista w tej dziedzinie i on nie mógł poradzić sobie z „dobrodziejstwem inwentarza”. Wystawa przypomina więc trochę sklep osiedlowy z przysłówiowym mydłem i powidłem.

Wydaje się, że organizatorzy niepotrzebnie postawili na ilość. 650 prac, 168 artystów z 21 krajów to brzmi imponująco. W tej grupie są jednak zarówno twórcy rzeczywiście znani i uznani w świecie (Roman Opalka, Jan Lenica, Igor Mitoraj), jak i tacy, którzy po pracy malują sobie dla przyjemności. Niestety, takich w „Zachęcie” jest większość. Czy fakt, że robią to na emigracji jest wystarczającym uzasadnieniem ich udziału w wystawie?

Tak czy inaczej, wystawa „Jesteśmy” na pewno przejdzie do historii. Jest wydarzeniem politycznym, społecznym, towarzyskim. Jest gigantycznym przedsięwzięciem organizacyjnym zakończonym sukcesem. Stała się też pretekstem do szerszej dyskusji o emigracji, do prezentacji powstałej poza granicami twórczości literackiej i filmowej. To ważne - znak czasów, w jakich żyjemy.

Małgorzata Szniak

P.S. Wystawie towarzyszy piękny katalog a właściwie albumowa encyklopedia sztuki emigracyjnej za „jedne” 200 tysięcy złotych. Idźcie jak woda. To też znak czasów, w jakich żyjemy.

Najstarsi pracownicy warszawskiej ZACHĘTY nie pamiętają, by którakolwiek z wcześniej prezentowanych tu ekspozycji wzbudzała tak wielkie zainteresowanie publiczności. Wystawa dokumentująca szeroko i znacząco obecność dzieł malarstwa, rzeźby i grafiki tworzonych poza krajem zarówno w sztuce polskiej jak i światowej stała się wielkim wydarzeniem artystycznym, politycznym i... towarzyskim. Tym ostatnim także dlatego, że dodatkową, rzeczą by się chciało „pozaartystyczną” ciekawość budził zarówno szeroki wybór prac i ich zagranicznych „adresów”, obecność licznie przybyłych, często dawno lub też dotychczas wcale nie widzianych w kraju twórców, a także spodziewany w wernisażu udział znanych i ważnych osobistości naszego życia artystycznego i politycznego. 1 września do „Zachęty” przybyła więc „cała Warszawa” *Tout Varsovie* długo wspominać będzie fakt, iż na tej właśnie wystawie spotkało się... trzech premierów! Wśród zwiedzających byli bowiem Jan Krzysztof Bielecki, Tadeusz Mazowiecki i Mieczysław F. Rakowski.

Na pomysł zorganizowania tej niecodziennej wystawy wpadły trzy lata temu dwie panie: Elżbieta Dzikowska i Wiesława Wierchowicka. Zwyczajnie sztuki i jej rozległych przestrzeni duchowych i geograficznych do swej idei nie musiały, jak twierdzą, przekonywać rozsianych po całym świecie polskich artystów, musiały tylko znaleźć na jej realizację siły i pieniądze. Energii miały wiele, pieniędzy zaś - ani trochę. *„Napisałyśmy do znajomych artystów i prawie wszyscy wyrazili za-*

icznych nurtów artystycznych. Zwyciężyła druga koncepcja: formuła szerokiej obecności zbiorowej. Życie nieoczekiwane mnożyło przed dziełnymi organizatorkami wystawy kolejne nieoczekiwane komplikacje. Oto bowiem tuż po złożeniu do druku w Lublanie kompletu materiałów (także ikonograficznych) do katalogu w Jugosławii wybucha wojna, oto w czasie aranżacji powierzchni wystawowej, nieoczekiwane i niebezpieczne ruchy „tektoniczne” zaczyna wykonywać podłoga, oto nadesłane przez artystę, a wcześniej znane jedynie z fotografii dzieło, okazuje się mieć zupełnie inne wymiary bądź też jest zupełnie innym dziełem... Niestrudzone animatorki owego wielkiego, ożywającego życie kulturalne stolicy (i całego kraju) wydarzenia artystycznego umierają wprost ze zmęczenia... Na szczęście tylko w metaforycznym sensie. Oby żyły sto lat!

W dziedzinie sztuk plastycznych, gdzie działalność musi być naoznaczona, nieobecność artystyczna wielu twórców była szczególnie dotkliwa, ale - jak w wywiadzie udzielonym Wiesławie Wierchowickiej właśnie z okazji tej wystawy powiedział Czesław Miłosz - „malarstwo polskie było zasadniczo emigracyjne. Któż nie jeździł za granicę... Wyspiański... Małowski... kapiści... Chodzi o to, co taki artysta (tworzący poza krajem) może przeciwstawić światu, żeby się ostać jako indywidualność. Przewodnikiem musi czerpać ze swego dziedzictwa i przeciwstawić się zmieniającym modom... Nasi artyści są nie tylko nasi. Należą do dwóch kultur: polskiej i tej, do której przylgnęli, którą też już w sobie noszą.”

Między Polską a światem

interesowanie tym projektem. - wspominają dziś obie panie - *Poradziłyśmy się przedstawicielami niezależnych ośrodków opiniotwórczych, w tym Polskiej Sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyki Sztuki (działało się to przed Okrągłym Stołem!). Zwróciłyśmy się z inicjatywą do ówczesnego Towarzystwa Polonia, a za jego pośrednictwem do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Kamyczek poruszył lawinę, ale nominację na komisarzy wystawy otrzymaliśmy po wielu miesiącach. Nie jesteśmy pewne czy byśmy tę nominację przyjęły, gdybyśmy mogły przewidzieć jak bardzo zmieniła nasze życie. Odiąd przestał w nim istnieć ład, czas, a nawet rodzina... Pieniądze... Za co zorganizujemy tak wielką wystawę, za co wydamy katalog, plakat, zaproszenie, za co sprowadzimy prace do Warszawy. Opiekunem państwa skończyła się nawet w kulturze. Wprawdzie ministerstwo przejęło na siebie główny ciężar finansowania wystawy, sporo pieniędzy dołożyło Stowarzyszenie Wspólnota Polska, ale nie były to środki wystarczające. Musiałyśmy szukać sponsorów. Pomagali przyjaciele, najwięcej „Teleexpress” oredował w naszej sprawie, ale rezultaty kwesty były ciągle skromne. W sukurs przyszli wystawie artyści: kilkudziesięciu ofiarowało prace na aukcję. Zorganizował ją bezpłatnie Dom Aukcyjny „Pol-Swiss Art” wspólnie z Filharmonią Narodową. LOT pomagał nam w błyskawicznym przekazywaniu korespondencji, a Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Polskie Linie Oceaniczne - w transporcie prac. Tworzenie wystawy stało się wspólną sprawą wielu osób i instytucji”. Opublikowana w pięknie wydrukowanym (koszt 60 tys. dolarów) katalogu lista sponsorów jest długa. Równie długa jest lista trudności, z jakimi borykały się obie panie.*

Podstawową był wybór koncepcji: czy ma to być ekspozycja tych kilku lub kilkunastu najwybitniejszych polskich artystów, którzy odnieśli największy sukces w świecie, czy też możliwie najszerszy przegląd prac wielu artystów z różnych krajów, róż-

Malarze, których dzieła oglądać można w „Zachęcie” podzielił się odbiorcami swej twórczości różnorodnymi refleksjami na temat znaczenia polskiego rodowodu artysty, który pozostaje poza krajem. *„Jestem Polak i koniec - pisze z Paryża Józef Czapski - Podziwiam Francuzów, ale oni na pewno nie są obok mnie. Są naprzeciwko. Obok mnie są Polacy. Do dziś nie wiem, kto obok mnie mieszka, a w Polsce znalazłbym nie tylko dziadków, ale i pradiadków sąsiada”*. Marian Bohusz-Szysko z Londynu tak wyraża swój związek z krajem: *„Należę wyłącznie do polskiej kultury. Polska jest treścią wszystkiego co robię. Czy namaluję Chrystusa, żonę czy angielski pejzaż - zawsze przynależę do Polski”*. Wojciech Fangor od trzydziestu lat mieszkający w USA mówi wprost: *„Myślmy podobnie tu jak i gdzie indziej. Nie ma różnicy”*. Tworzący w Paryżu Jan Lenica jest również zdecydowany: *„Nigdy nie uważałem się za emigranta. Jestem polskim twórcą pracującym za granicą. Jak wielu pisarzy angielskich mieszkających na Cote d'Azur, Amerykanów tworzących w Paryżu, Francuzów w Grecji etc”*. Kazimierz Glaz z Kanady opisuje swą sytuację psychiczną zdarzeniem o niemal anegdotycznym wymiarze: *„Na dobrą sprawę nigdy z Polski nie wyjeżdżałem. Paradoks, ale to właśnie uświadomiłem sobie niedawno całkiem wyraźnie. W niedzielę rano 4 czerwca 1989 roku poszedłem do lokalu komisji wyborczej, powiedziałem nazwisko i adres, odfajkowano mnie i poszedłem za kurtynę głosować. Wtedy uświadomiłem sobie, że ostatnie ćwierć wieku było dla mnie tylko poruszaniem się w przestrzeni, w czasie...”* Szczególnie dramatycznie brzmi wypowiedzi artystów polskich działających w Związku Radzieckim. *„Los starszego pokolenia Polaków działających w Rosji był tak dramatyczny, że instynkt samozachowawczy nakazywał mi pracować w ukryciu. Wciąż stał przede mną obraz moich dziadków, którzy zginęli na syberyjskim zesłaniu. Widziałem też ciągle obraz moich rodziców, których wraz z dziećmi, a więc i ze mną, zesłano na Syberię w 1936. Ojciec został w roku 1939 zabrany do Gulu. Zginął tam nie wiadomo jak i kiedy. Pamiętam ostatnie słowa ojca w godzinie aresztowania. Powiedział mi, jedenastoletniemu chłopcu: Głowa do góry, jeszcze Polska nie zginęła!”* - napisał Stefan Centomirski.

Nie o wszystkich wiedzieliśmy, że są. Dziś polscy artyści działający poza krajem mówią po prostu: Jesteśmy! JESTEŚMY nie jest wystawą o wyłącznie emocjonalnym, patriotycznym charakterze i wydźwięku. Nie jest też (na szczęście!) wystawą samych tylko arcydzieł, bo obok obrazów, grafik i rzeźb prawdziwie doskonałych - takich jak prace Cieśliewicza, Czapskiego, Olbińskiego, Lenicy, Mitoraja, Lebensteina, Opalki czy Sawki - są też rzeczy słabsze, płytsze, ujawniające niedokonałość warsztatową. Nie sądzę, by owe rzeczy słabsze umieszczono w „Zachęcie” z chłodnym rozmysłem. Czynną one jednak obraz polskiej sztuki plastycznej powstałej za granicą obrazem autentycznym i żywym.

Samoistnym dziełem sztuki jest także sama wystawa. Gromadząca głosy publiczności „księga wpisów” zawiera słowne dowody bardzo żywych przeżyć, jakich dostarcza to szczególne dzieło. Dla wielu widzów jest ono czymś znacznie większym niż typową ekspozycją. Jeden z nich określił ją następująco: „Dzieła i publiczność zmieniły „Zachętę” w bajeczny, gombrowiczowski TRANS-ATLANTYK. Cudowny spektakl!”

Transatlantyk między Polską a światem...

Ewa Pankiewicz

Rodzice do szkoły
chcą mieć wszystko
z Marbelu, wtedy
przyzekałam paprawić
ortografę.

Marbel

Wszystko
do
szkoły
i do
zabawy

Marbel

Łódź, ul. Brukowa 6/8
tel. 51-23-18 w. 91
51-27-95

Nauczyciele stawiają ministerstwu dwóję

W Szkole Podstawowej nr 149 od kilku lat realizowano poszerzony program wychowania fizycznego, uczniowie do dziesięciu godzin tygodniowo spędzali w szkolnej pływalni. Efektem były tytuły mistrza i wicemistrza kraju juniorów. Obecnie sport w szkole definitywnie upadł. Elektrociepłownia zagroziła odcięciem dopływu ciepłej wody, za korzystanie z basenu wprowadzono opłaty. Na cały rok

polska szkoła wcale nie jest taka zła. Wystarczy trochę pieniędzy na budynek oraz pensje dla nauczycieli i bez gigantycznego wywracania całego systemu mielibyśmy bardzo dobrą szkołę.

Związek Nauczycielstwa Polskiego wciąż pozostaje w sporze zbiorowym z rządem, któremu zarzuca podejmowanie działań niszczących polską oświatę. Komisja arbitrażowa przy Sądzie Najwyższym wstrzymała się z wydaniem orzeczenia do czasu, aż ZNP powoła nie-

Ministerialnym oszczędnościom zdecydowanie przeciwstawia się „Solidarność”. Przewodniczący Tymczasowej Wojewódzkiej Komisji Międzyzakładowej Oświaty i Wychowania Wiesław Łukawski zgłosił postulat stworzenia funduszu pomocy łódzkiej oświacie. Zaproponował, aby nauczyciele dobrowolnie opodatkowali się na ten cel w wysokości 5 proc. zasadniczych poborów oraz zrezygnowali do końca roku z dyrektorskich, kuratorskich i ministerialnych nagród.

Z kolei ZNP wznowił akcję protestacyjną mającą na celu poinformowanie o dramatycznej sytuacji i uzyskanie wsparcia społeczeń-

Zarządzenie o zmniejszeniu planu lekcji o 4 godziny tygodniowo w każdej klasie wydano bez jednoczesnego „odchudzenia” programu nauczania. Dyrektorzy szkół indywidualnie decydują o tym, które przedmioty w których klasach ulegną redukcji – raz jest to język polski, innym razem wychowanie fizyczne czy zajęcia techniczne. W wypadku niektórych przedmiotów ograniczenie zajęć z dwóch godzin do jednej oznacza zmniejszenie programu o połowę.

W związku z dowolnym rozdziałem godzin na poszczególne przedmioty, rodzą się pytania: według jakich kryteriów przygotowywane

Oszczędnościowa produkcja średniaków

1991 szkoła otrzymała na wszystkie wydatki (poza płacami) 142 mln zł, podczas gdy miesięczny koszt utrzymania pływalni wynosi 100 mln.

W związku z kolejnym ograniczeniem budżetu oświaty o 3,7 proc. w stosunku do już obowiązyującego programu oszczędnościowego, Ministerstwo Edukacji Narodowej poleciło, aby szkoły w każdej klasie zmniejszyły liczbę godzin lekcyjnych o 4 tygodniowo i zlikwidowały zajęcia pozalekcyjne. Należy również liczyć się z ograniczeniami etatów administracyjnych i bezpłatnymi urloпами dla nauczycieli.

W Szkole Podstawowej nr 175 w Łodzi plan lekcyjny ogółem zredukowano o 183 godziny, zlikwidowano chór, koło teatralne i instrumentalne, SKS oraz koła przedmiotowe: historyczne, fizyczne, biologiczne, zrezygnowano z zajęć wyrównawczych w klasach IV-VII i indywidualnych zajęć resocjalizacyjnych. Z czterech zrobiono trzy klasy trzecie, z trzech – dwie klasy ósme.

Wiceminister edukacji narodowej prof. Andrzej Janowski: „Należy trochę tonować tendencje krytyczne wobec oświaty. Przeciwna

zależnych ekspertów, którzy udowodnią zasadność oskarżeń. MEN stoi na stanowisku, że jego program dostosowawczy nie powoduje żadnego uszczerbku w warunkach pracy i płacy nauczycieli.

Skutkiem wprowadzenia programu oszczędnościowego jest drastyczne pogorszenie sytuacji nauczycieli. Średnia płaca wynosi od 1,1 mln do 1,3 mln zł (po 30 latach pracy). Zlikwidowano ponadwymiarowe godziny, połówki etatów, nie zatrudniono emerytów. Z jednej ze szkół na Dąbrowie odeszło w sumie 17 osób.

Adam Komorowski, z-ca dyrektora SP 149: „Pani minister Anna Radziwiłł stwierdziła, że nauczyciele zgodzili się na służbę. Ich zadaniem jest służyć uczniom. Zgoda, ale nauczyciel też musi coś włożyć do żołądka. Nie każdy może dawać korepetycje”.

Dobre samopoczucie prof. Roberta Głębockiego wydaje się w tej sytuacji być mało uzasadnione. Minister edukacji narodowej apeluje o konieczność w okresie przejściowym wyrzeczenia, natomiast jego zastępca liczy na to, że „jak będzie bardzo źle, dyrektorzy, nauczyciele i rodzice sami zaczną szukać sposobów wyjścia z trudności.

wa, a głównie rodziców dzieci krzywdzonych drastycznymi ograniczeniami funduszy szkolnych. Ze wstępnych sondaży wynika, że placówki oświatowe bardzo krytycznie podchodzą do programu dostosowawczego, ale większość nie wyraża poparcia dla akcji strajkowej, optując za innymi formami protestu.

Również NSZZ nie bierze pod uwagę strajku, forma protestu zostanie ustalona po konsultacjach. „Solidarność” nie przewiduje jednak współpracy z ZNP w akcji protestacyjnej. Przewodniczący Wiesław Łukawski zarzuca związkowi branżowemu wykorzystywanie trudności w oświacie i atakowanie rządu dla własnych celów politycznych.

Cel wydaje się być jeden – uzdrowienie katastrofalnej sytuacji, w jakiej znalazły się szkoły państwowe i stworzenie takiego systemu oszczędności, który będzie miał na względzie dobro ucznia i interes pedagogów. Zdaniem Elżbiety Skarbek, dyrektor SP 149, „zmniejszenie siatki godzin jest celowe, ale nie można podejmować decyzji zbyt szybko, na ostatnią chwilę w czasie wakacji, bez porozumienia z nauczycielami.”

będą egzaminy wstępne do szkół średnich? Jak będą przeprowadzane konkursy przedmiotowe i olimpiady? Co zrobić, aby dzieci z szczególnie niedoinwestowanych wiejskich placówek miały choć cież szansy na kontynuowanie nauki w lepszych szkołach?

Zlikwidowanie kół zainteresowań i zajęć wyrównawczych oraz zagęszczenie klas sprawi, że szkoły będą nastawione na masową produkcję średniaków. Oszczędnościowy program nie przewiduje możliwości pracy z uczniami szczególnie zdolnymi i tymi, którzy nie nadążają za rówieśnikami. Chyba, że nauczyciele... poprowadzą zajęcia za darmo.

W początkach lat 80. UNEŚCO przeprowadzało badania poziomu wiedzy uczniów w różnych krajach. Na tle innych państw, szczególnie w stosunku do dzieci i młodzieży z USA, Anglii, Francji, Polska osiągnęła wyniki bardzo dobre. Sądząc po obecnych decyzjach i powszechnie panujących trendach do zjednoczenia, upodobnienia i ujednolicenia, wyniki te musiały być zbyt pozytywne...

Monika Matuszak

InterChristiana 91

Znana w środowisku artystycznym opowieść o pewnym kierowniku produkcji filmu, który – by w latach pięćdziesiątych zapewnić sobie zapas dewocyjnych rekwiizytów – wysłał zaopatrzeniowca po „dwadzieścia Matek Bożek”, a ten zjechał pół Polski nim zgromadził tak zawrotną na te czasy ilość owego artykułu, dawno już nie odzwierciedla rzeczywistości. Od lat rynek dewocjonalistów zaopatrzonej jest obficie, a przyszłość rysuje się przed nim jeszcze barwniejsza, czego liczne zwiastuny przyniosły odbywające się w ubiegłym tygodniu I Targi Dewocjonalistów INTERCHRISTIANA. Kto jednak liczył, że – niczym w „Romie”, znakomitym filmie Felliniego – prezentowane na nich będą pokazy mody kościelnej, ten z pewnością rozczarował się głęboko, bo rewii mody nie było. Wiele satysfakcji mieli za to ci, z pewnością liczniejsi goście, uczestnicy i klienci, a także zwiedzający „InterChristiana”, pierwsza w Europie środkowej impreza ekspozycyjno-handlową, którzy wzięli z nią inne wielorakie, poważniejsze nadzieje.

Jakość artystyczna większości dotychczas prezentowanych dewocjonalistów, jakie niektórzy z nas znają ze sklepów „Veritasu”, usytuowanych przy kościołach kiosków i straganów „oblepiających” liczne miejsca kultu religijnego, często pozostawiała wiele do życzenia. Oferta pięćdziesięciu producentów, którzy uczestniczyli w INTERCHRISTIANIE wzbudziła nadzieję na lep-

szą w tym względzie przyszłość, choć zrodziła też obawy o skutki gorliwości, z jaką niecierpliwie myśląc o dużym i łatwym zysku, łapią w żagle silne porwy powszechnie odradzających się uczuć religijnych. Jakże bowiem nie mieć takich obaw na widok dwudekagramowych porcji... ziemi świętej (w foliowych torebkach, a 5 tys. zł w hurcie), wody z rzeki Jordan (buteleczek po ok. 25 gram w cenie hurtowej 24,6 tys.), czy oliwy z oliwek rosnących nad tą rzeką (w buteleczkach o różnicowanej objętości i cenie)? – Jaką ilość ziemi

Nieśmiertelność ducha handlu

świętej można zakupić? – spytałam – Każdą! – padła krótka odpowiedź przedstawiciela oferującego ją biura podróży „Pegrotour”. – A wody? – Też!!! Jak pozbyć się owych obaw widząc białe podkoszulki typu T-shirt ozdobione reprodukowaną w technice offsetowej barwną fotografią papieża Jana Pawła II? „Papieża” prać z „pościelowym” (bo białe) czy z „kolorowymi”? – pomyślałam. A co dalej? Prasować?! Gorącym żelazkiem?! Czy bawełniana koszulka jest najwłaściwszym miejscem dla wyrażania najwyższych uczuć? Czy wycieczki na jakimś szczyt w Łódzka Spółdzielnia Rzemieślnicza, nie kłóci się tu z wycieczką taktu? Czy niezbyt łatwym będzie kontrargument, iż wątpliwy jest bardziej papieski od papieża...

Na szczęście margines wątpliwości rodzących się w czasie zwiedzania targowych ekspozycji był naprawdę bardzo, bardzo wąski, a przewaga

ofert interesujących, stojących na bardzo wysokim poziomie artystycznym – zdecydowana. Obok tradycyjnych rodzajów przedmiotów zwanych dewocyjnymi, prezentowano tu także artykuły luźno związane z kultem religijnym.

Te pierwsze, znane, to medaliki, różańce, ikony, obrazy, witraże i rzeźby sakralne, a także naczynia i szaty liturgiczne oraz sprzęt kościelny. Klasyczne i nowoczesne wzornictwo, dobre wykonanie, ciekawy sposób ekspozycji, zróżnicowane ceny. Rzeczy najwyższej jakości osiągały w tej grupie równie wysoką cenę. Pracowite i niezwykle utalentowane Zgromadzenie Pobożnych Uczennic Boskiego Mistra zaprezentowało ręcznie wykonane przez swoje członkinie prawdziwe dzieła sztuki: wspaniałe, choć nie kąpiące od złota, rzeźby z kielicha – eleganckie ornaty i zachwycające wykwintną prostotą współczesnej formy srebrne oraz pozłacane naczynia liturgiczne. Ich składające się z kielicha i misy komplety „Hosanna” a także „Chleb życia” kosztują ponad 11 mln zł.

W drugiej grupie artykułów, w której znalazły się szlachetne tkaniny i dywany, stroje ślubne, wydawnictwa książkowe, biżuteria świecka, ozdoby choinkowe, głośniki, żyrandole, a nawet „krzeselka składane przydatne na większe zgromadzenia religijne”, przeważało tradycyjne lecz szlachetne wzornictwo i dobra jakość wykonania. Piękne bombki z gdańskiej spółdzielni „Gedania” ozdobią w tym roku niejedną choinkę. Klasę samą dla siebie stanowiły oferty Artystycznej Pracowni Rzeźbiarskiej i Kowalskiej pp. Władysława Władki i Jana Cygankiewicza oraz Koszalińskiej

Fundacji Ochrony Książki – Wydawnictwa Artystycznego Urszuli Kurtiak i Edwarda Ley’a.

Dużym uznaniem zwiedzających cieszyły się stanowiące artystyczną część „InterChristiana”: wystawa projektów budownictwa sakralnego diecezji łódzkiej, wystaw malarstwa Wiesława Śniadeckiego oraz interesująca wystawa filatelistyczna. Medalie „InterChristiana 91” jej organizatorzy – spółka Międzynarodowe Targi Łódzkie, której dyrektorką, w osobach Anny Ciepłuchy i Grzegorza Jegiera, a wszyscy pracownicy obdarzali wystawców gości i

zwiedzających nadzwyczajną wprost troskliwością – przyznali Zgromadzeniu Pobożnych Uczennic Boskiego Mistra i częstochowskiemu „Inco-Veritas”.

Pierwsze transakcje zawierano już w pierwszej godzinie targów. Pierwszymi klientami byli właściciele sklepów z dewocjonaliami. Pani Tetesie Antosik, która przyjechała z Nowego Dworu Mazowieckiego podobno się wszystko. Złożywszy liczne zamówienia opuszczała jednak targową halę z uczuciem niedosytu. „Bo człowiek, proszę panią” – przekonywała mnie z handlowo-duchową żarliwością – rodzi się, więc musią być pamiątki i ubranka na chrzest, zeni, no to sama pani rozumie, i umiera. Medaliki mam już wspaniałe, zaręczynowe pierścionki i obrączki na ślub – też, ale nic tu nie ma na śmierć! „A ja tam wierzę w nieśmiertelność... ducha handlu – rzekł hurtownik z Lublina – i za rok też tu przyjadę, jeśli... dożyję”.

W przyszłym roku Targi Dewocjonalistów INTERCHRISTIANA odbędą się w maju.

Ewa Pankiewicz

Reklama w „Odgłosach” to reklama przez cały tydzień!

Oferujemy usługi w zakresie reklam. Promocyjne ceny:

- na kolumnie ogłoszeniowej – 6 tys. zł za 1 cm² (minimalna powierzchnia ramki 25 cm²)
- reklamy na pierwszej stronie – 100% dodatku (powierzchnia nie może być większa niż 150 cm²)
- reklama na ostatniej stronie – 50% dodatku (powierzchnia nie większa niż 200 cm²)
- reklama na pozostałych stronach 30% dodatku

Wykonujemy opracowania graficzne reklam: przy całostronicowej – 10% dodatku, przy pozostałych – 25% dodatku. Przy pięciu kolejnych ogłoszeniach – piąte zamieszczamy bezpłatnie!

Proponujemy także nowy atrakcyjny rodzaj reklamy w formie artykułów pisanych przez naszych dziennikarzy. Rodzaj publikacji i opracowanie graficzne do uzgodnienia.

Ceny: całostronicowa publikacja – 10 mln zł,
półstronicowa – 6 mln zł,
ćwierćstronicowa – 4 mln zł

Ogłoszenia przyjmowane są w:

- „Odgłosach” ul. Sienkiewicza 3/5 XI piętro, pok. 1104, tel. 36-52-44
- „Gazecie Reklamowej” ul. Sienkiewicza 11/13, tel. 33-18-19
- AnGORZE” ul. Piotrkowska 94, I piętro, pok. 11, tel. 32-61-79
- Biurze Ogl. i Rekl. „Epoka” al. Kościuszki 41, tel. 33-23-28
- Biurze Reklam i Ogłoszeń ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 33-11-50
- B.U.T. „Voycamp-Tour” ul. Piotrkowska 91, tel. 33-36-21

UWAGA! – oferujemy najtańsze ogłoszenia drobne – bo **BEZPŁATNE!** CZYTELNIKU! Wypełnij wycięty z naszego pisma kupon i prześlij go pod adresem redakcji. Twoje ogłoszenie zostanie zamieszczone bezpłatnie w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów”. Treść ogłoszenia nie może przekraczać 10 słów.

Kupon ogłoszeniowy będziemy zamieszczać przez najbliższe 3 miesiące

KUPON OGŁOSZENIOWY „Odgłosy” 90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

Treść:

(imię i nazwisko) (adres) (telefon)
(data) (podpis)

● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY

Andrzej Safianowski – ekspert dokumentów:

Niedawno w jednym z kościołów w sąsiednim województwie nieznaną sprawcą zdemolował figury świętych i pociął obrazy. Straty materialne wyniosły wiele milionów złotych. Wandal zostawił dwa anonimowe teksty o treści związanej z popełnionym czynem.

Po konsultacjach z ekspertami z pracowni badań dokumentów Wydziału Techniki Kryminalistycznej, którzy orzekli, że anonimowy napisał mężczyzna o niskim poziomie umysłowym, schizofrenik rzadko używający pióra, w wieku 40-50 lat – wytypowano 49-letniego Czesława R., rolnika, pacjenta miejscowej poradni zdrowia psychicznego.

Powiem ci, kim jesteś

Ekspertyza prób jego pisma wykazała, że to on nakreślił anonimowe teksty porzucone na miejscu przestępstwa.

– Czy kryminalistyczna ekspertyza tekstów, dzięki której wykrywa się m.in. takie sprawy jak wyżej opisana ma coś wspólnego z grafologią? – pytam Andrzeja Safianowskiego, kierownika pracowni badań dokumentów Wydziału Techniki Kryminalistycznej KWP w Łodzi.

– Najogólniej rzecz ujmując grafologia tak się ma do mojej specjalności jak węgiel kamienny do kamienia węgielnego, aczkolwiek pewne wspólne elementy też by się znalazły. Nawet w sądzie, przed którym staję jako biegły broniąc swych opinii, przeważnie zwą mnie grafologiem. A ja od 29 lat jestem ekspertem dokumentów.

Wszystkie encyklopedie i słowniki wyrazów obcych mówią o grafologii jako o teorii pozbawionej naukowych podstaw, zajmującej się określeniem właściwości psychicznych człowieka na podstawie charakterystycznych cech jego pisma ręcznego. Gdyby wierzyć ludziom skupionym w sekcji grafologicznej Stowarzyszenia Radiestetyków w Warszawie, mogą oni wykrywać ponad 300 rozmaitych cech osobowości oraz cech zdrowotnych i stanów fizjologicznych (np. choroby serca, kręgosłupa, weneryczne, przewlekłe migreny, nadciśnienie tętnicze, ciężce, zbrocenia seksualne). W zakresie osobowości mogą m.in. określać cechy okrucieństwa, sadyzmu, agresji, także ukryte w podświadomości człowieka cechy kryminalne. A propos: według pewnej niedzisiejszej teorii grafologicznej mam „zbrodnicy” literę „t”. Mimo to spijam spokojnie, acz na wszelki wypadek czujnie.

– Powiedział pan jednak na początku, że są jakieś wspólne elementy łączące grafologię z kryminalistyczną ekspertyzą tekstów...

– Tak. Z naszą metodą badawczą łączy ją np. analiza nacisku ręki na środek pisarski, badanie cech z topografii pisma, czyli w jego przestrzennym ułożeniu na arkuszu papieru, a także ocena proporcji w piśmie. Ale głównie w grafologii rozpatrywane są pojedyncze litery oraz usytuowanie ich składowych części konstrukcyjnych względem siebie. Ważne dla grafologów są dwie litery: „t” i „i”. Poprzeczki w „t” kreślone w dół mają oznaczać słaby charakter; w górę – autorytet i silne uczucia ojcowskie. Kropki nad „i” w przodzie mają mówić o niecierpliwości; kropki równo, ułożone nisko – o dobrej pamięci; kropki wielkie, zamazane – o brutalności, uporze; kółeczka w miejscu kropek – o zdolnościach aktorskich; kropki kreślone jako daszek skierowany ku górze oznaczają krytycyzm, zaś z daszkiem w bok zazdrość... Toż to zwyczajna psychozabawa!

– Czy wobec tego grafologię należałoby odrzucić?

– Jako metodę naukową tak (logos z greckiego to nauka), jako wiedzę – nie.

– Co jest pana zdaniem największą wadą grafologii?

– Podstawowym błędem grafologów jest ograniczenie się tylko do analizy form graficznych. Pomijają oni zespół cech językowo-treściowych pisma, w którym to odbijają się przymioty intelektualne ludzi, albo jest on świadectwem ich braku. Nasze pismo nie może być traktowane jako znak graficzny, bo jest ono również śladem intelektualnym. Na tej zasadzie opiera się stosowana w kraju metoda badań porównawczych pisma ręcznego. Wychodzi ona ponadto z założenia, że pismo każdego człowieka jest śladem psychofizycznym, indywidualnym i niepowtarzalnym, nawet u bliźniaków jednojajowych. Tak samo jak nie powtarzają się identyczne cechy indywidualne w śladach linii papilarnych dwóch osób, także bliźniąt. Dodam, iż cechy obecne w danym piśmie nie powtarzają się nawet za kilka pokoleń, gwarantując na to dają prawa przyrody i matematyka. Katalog badań pisma zawiera ok. 80 grup jego cech, zarówno formalnych, jak i treściowych, tworzy to w praktyce miliony kombinacji graficznych.

– Czy to oznacza, że ekspert dokumentów

jest w stanie zidentyfikować każdego wykonawcę pisma ręcznego?

– Tak, ale pod warunkiem, że będzie miał właściwy materiał porównawczy. W tym zakresie wśród funkcjonariuszy, prokuratorów i sędziów panuje zaskakująca niekiedy niewiedza. Ba, sąd potrafi przysłać jakieś kwestionowane pismo do badań porównawczych, w ogóle bez materiału porównawczego.

Poza ekspertyzami sporo czasu poświęcałem na badania pism zniekształconych świadomości lub z przyczyn naturalnych np. pisma leworęcznego, czy też osób nietrzeźwych bądź będących pod wpływem środków odurzających lub narkotyków.

– Czy na podstawie analizy pisma ręcznego można określić stan zdrowia jego wykonawcy?

– Można stwierdzić chorobę psychiczną oraz neurologiczną ponieważ powodują one wystąpienie w piśmie określonych cech i deformacji. Na przykład pisma schizofreników charakteryzują się rozkojarzonym tokiem myślenia. Zaburzenia zdolności pisania, ostre wychylenia linii pisma, zamiana liter i wyrazów innymi, czy widoczne w piśmie drżenie rąk są wynikiem urazów czaszki, chorób naczyniowych mózgu, jego toksycznych uszkodzeń, guzów śródczaszkowych, zabiegów chirurgicznych na mózgu, czy po prostu starości. Falszerze najczęściej wykorzystują właśnie wywołane starością drżenie rąk próbując naśladować drżączki podczas składania podpisów np. w testamentach. Ale my mamy swoje sposoby, by odróżnić tremor – bo tak nazywa się to zjawisko – rzeczywisty od podrabianego...

– Czy z pisma możemy wywnioskować tylko o schorzeniach albo zatruciu alkoholem lub środkami farmakologicznymi?

– Nic podobnego, to tylko kropla w morzu spraw. Niektóre z zawartych w piśmie cech graficznych oraz językowo-treściowych pomagają nam w typowaniu środowiska potencjalnego autora różnych anonimów. Można w przybliżeniu określić jego wiek, wykształcenie, zawód, nawet płeć.

Niedawno w pewnej wsi zaczęły wybuchać pożary, ogień trawił lasy, stogi, zagrody. Na otoczenie padł strach, potęgował go piroman rozrzucający kartki, w których groził, że spali całą wieś. Nie dawały rezultatów policyjne zasadzki i dyżury powołanej ad hoc straży obywatelskiej.

Po 13 pożarach kartki znalazły się na moim biurku. Na podstawie analizy obrazu pisma oraz zawartej w nim treści i rysunków zasugerowałem funkcjonariuszom, że wykonawcą pisma może być młody człowiek w wieku 16-18 lat, prędzej uczeń zawodówki niż liceum. Błyskawicznie dostarczono mi stos zeszytów uczniów szkoły zawodowej z pobliskiego miasteczka. Jeden z nich należał do podpalacza. Mieszkał w tej wsi i był członkiem nocnych patroli, wyróżniał się nawet podczas gaszenia ognia.

Tego nie sprawiła grafologia, tylko kryminalistyczna analiza pisma wykonawcy. Trzeba o tym pamiętać, że nikomu nie udało się rozgryźć człowieka na podstawie wyglądu samych znaków graficznych w jego piśmie.

Jeszcze więcej informacji o człowieku dostarcza fachowa analiza jego mowy zarejestrowanej na taśmie magnetofonu. Z nagranej wypowiedzi można ustalić narodowość, wiek, płeć sprawcy przestępstwa, jego środowisko zawodowe, socjalne, regionalne, kierunek wykształcenia mówiącego, znajomość języków obcych, zainteresowania, stan użebienia, wady wymowy, a także czy był pijany, czy palił papierosy, kiedy jadł, siedział albo szedł i co robił.

– A czy można zidentyfikować osobę, której wypowiedź zarejestrowano?

– W moim polskiej występuje ok. 500 cech indywidualnych, w każdym wypadku następuje kategoryczne zidentyfikowanie osoby. Amatorskie nagrania, z zakłóceniami, zniekształcone, też nie stanowią przeszkody w ustaleniu uczestników zarejestrowanej rozmowy.

– Dość łatwo tu o fałszerstwa...

– Czasami w jednym nagraniu występuje kilka rodzajów fałszerstw. Spotykamy monetaż wykonane z jednej bądź kilku rozmów poprzez cięcie taśm, sklejanie kawałków i przekopowanie na nową taśmę. I już mamy wypowiedź, której w rzeczywistości nie było. Dlatego w toku badań fonoskopijnych ustala się najpierw autentyczność nagrania, dopiero potem można przystąpić do badań identyfikacyjnych.

Rozmawiała:

Beata Kostrzewska

– Jakie były początki programu „997”?

– Najwięcej do zawzięcia mam sekretarzowi propagandy KC PZPR Janowi Głowczykowi.

– Bardzo odważnie brzmi dziś takie wyznanie...

– Łekliwy bardzo nie jestem, ale wtedy się bałem. Zrobiłem akurat kolejny odcinek programu „Stan krytyczny”, którego negatywnym bohaterem był kurator z Płocka. Gdy materiał poszedł na antenę, pan kurator został akurat sekretarzem komitetu wojewódzkiego PZPR. Protegował go, oczywiście, towarzyszy Głowczyk.

– Jak się dowiedziało o popełnionej gafie?

– Z telewizora. Spikerka programu II odczytała specjalny komunikat zarzucając mi dziennikarską nierzetelność i zapowiadając, że w stosunku do mnie zostaną wyciągnięte konsekwencje.

– I wtedy się zaczęło?

– Wezwano mnie do Warszawy. Tam obecny korespondent TV w Bonn Karol Sawicki oraz obecny korespondent TV w Londynie red. Napierała oświadczyli mi, że działam na szkodę socjalistycznego państwa i mam zakaz występowania w TV.

– A w Łodzi nikt cię nie bronił?

– Tutaj także miałem kreskę po zrobieniu materiału o pewnym bloku na Dąbrowie zamienionym na hotel międzywojewódzkiej szkoły partyjnej. Dyrektor Michał Walczak uprzedzał mnie, że kiedyś rozbije sobie nos. Wszyscy na to czekali, bo w telewizji koledzy nie lubią lepszych od siebie, pod tym względem nie się nie zmieniło do dziś.

– I wylano cię z pracy?

– Nie, tylko „spadłem z anteny”. W lokalnym programie odebrano mi stałą pozycję poświęconą sprawom mieszkaniowym oraz inny program „Szkoła i dom”. Po prostu je zlikwidowano. Interwencyjny program „Listy i telefony” przekazała Annie Orzechowskiej, żonie sekretarza KC PZPR w Łodzi. „Stan krytyczny” dostała telewizja krakowska. Byłem przekonany, że zostanie zwolniony, chociaż Walczak oświadczył, że będzie mnie trzymał, dopóki nie zażądają jego głowy. Specjalna komi-

„997” – program niebezpieczny

naturzszczy. Przeważnie pracownicy policji i członkowie ich rodzin. Często mam statystów, jak to się mówi „z łapanki...”. Wołę takich od aktorów nie obytych z kamerą, którzy mylą plan filmowy z teatrem i zaczynają mi grać dla widza w siedemnastym rzędzie. Czasem otrzymuję listowne oferty od ludzi, którzy chcą wystąpić w programie.

– „997” ma dużą oglądalność.

– Z badań wynika, że stale ogląda go 50% dorosłych widzów. Dzięki temu program przyczynia się niekiedy do wykrycia sprawców zbrodni, które z pozoru nie miały świadków. Społeczeństwo stara się pomóc, chociaż niekiedy ofiarą takich zabiegów padają statysty. Nie tak dawno pasażerowie autobusu „schwytali” dwóch moich statystów, których rozpoznali w pojeździe. Zawieźli ich wprost na komisariat. Niestety, nie stać nas na bardziej staranna charakterystycję. W Wielkiej Brytanii podobny program realizuje kilka ekip i to po parę tygodni. My mamy na skrócenie sceny jeden dzień.

– Czy ofiary przestępstw współpracują z programem?

– Kręcimy sceny w naturalnych wnętrzach. Staram się o to, aby ofiary zbrodni nie musiały przeżyć ponownie przykrych przeżyć, ale zdarzają się rzeczy zadziwiające. W okolicach Piły miał miejsce bardzo drastyczny gwałt dokonany w lesie na młodej kobiecie. Sprawcy pastwili się nad nią blisko cztery godziny. Dowiedziałem się, że pokrzywdzona sama chce „zagrać” swoją rolę, nie mogłem jej od tego odwieść i z trudem przekonałem, aby włożyła przynajmniej perukę. Tłumaczyła, że chce się zemścić na swych oprawcach.

Szok przeżyłem także w Boguszycah-Gorcach w woj. wałbrzyskim. Zgwałcono tam i zamordowano małą dziewczynkę, sprawcy nie odnaleziono do dziś. Rodzice ofiary uparli się, że wezmą udział w kręceniu sceny. Z zimną krwią pokazali, jak odnaleźli dziecko w piwnicy nie zgadzając się na udział statystów. Takie sytuacje zapierają dech, ja bym chyba tak nie

Natykam się na miny

Rozmowa z MICHAŁEM FAJBUSIEWICZEM

sja złożona z przedstawicieli KC PZPR, MSW i Ministerstwa Sprawiedliwości przeglądała wszystkie moje programy: o narkomanii, prostytucji itp. Same mroczne strony socjalistycznej rzeczywistości, nawet polecono zniszczyć te wszystkie taśmy.

– W myśl zasady: nie mówić o czymś, to nie ma zjawiska.

– Dokładnie tak. Ale głowy mojej nie zażądano, byłem na ostrzał w późniejszej kolejności – za bezczynność, a nie za to, że naraziłem się towarzyszowi Głowczykowi. Na razie pozbawiono mnie tylko narzędzi pracy.

– W końcu jednak „sprawa przyschła”?



– Niezupełnie. Pomógł mi trochę Ryszard Bójko pozwalając robić materiały do „Teleexpressu”. A Boguś Wołoszczański podsunął pomysł robienia materiałów o nie wykrytych zbrodniach. Pomysł kroniki kryminalnej kupił dyrektor Walczak i wydział prasowy KG MO. Ponieważ nie mogłem pokazywać na ekranie swojej twarzy, do prowadzenia audycji zaprosiłem Jana Płóćniczaka oraz Sławka Komorowskiego. Pozwolono mi zrobić materiał próbny, ale „makieta” po akceptacji została wyemitowana. A program „997” przyszedł na dobre.

– Wprawdzie „997” mówi także o mrocznych stronach rzeczywistości, ale jego formuła odbiega daleko od „Stanu krytycznego”. Przejście na formy paradokumentalne nie było chyba proste?

– Miałem pewne doświadczenia, już wcześniej pracowałem ze statystami. W młodości chciałem nawet zostać aktorem, ostatecznie jednak ukończyłem pedagogikę. Warszawa telewizyjnego uczyłem się sam i lubię improwizować, rzadko piszę scenariusz, najczęściej ustawiam tylko oś rozmowy.

– W takim razie musisz sięgać po doświadczonego współpracownika...

– Ekipa realizatorów to doskonali fachowcy, ale w moich programach występują głównie

potrafił, chociaż muszę mieć chłodny stosunek do wydarzeń, nie poddawać się emocjom.

Oczywiście są i przypadki odwrotne. Rodziny ofiar mdleją, trzeba wzywać karetki pogotowia. Nie mogę ich wyprosić z planu korzystając z naturalnego wnętrza, które jest ich własnością.

– Ostatnio w „997” jest jakby mniej drastyczności.

– Staram się ukazywać sprawy możliwie najmniej drastycznie, choć czasem brutalność okazuje się potrzebna. Prokuratura krakowska pozwoliła mi pokazać zdjęcia ofiary zabitej w beczce. I tylko dzięki temu mor-

derca nie popełnił kolejnej zbrodni, został wydany przez swego pracodawcę. Jego fotografie pokazywano wcześniej w „Wiadomościach”, ale to na poznańskim rzemieślniku, który zatrudniał przestępcę nie zrobiło wrażenia. Dopiero po moim programie uprzytomnił sobie, że może być następną ofiarą.

– Także ekipa „997” nie uniknęła pecha.

– Nie lubię wracać do wypadku w Cisnej. Przypadek sprawił, że akurat nie wsiadłem w tym momencie do helikoptera. Zginęło dziecko osób. I chociaż upadek maszyny spowodowany był błędem człowieka, pozostał mi uraz do śmigłowców.

– Co uważasz za największy sukces programu „997”?

– To, że w ogóle jest na antenie, już od pięciu lat. W Polsce programy padają nie dlatego, że utraciły widownię, decydują najczęściej zupełnie inne okoliczności. Mam szczęście natykać się na miny, choć jeszcze żadna mnie nie rozerała. Czekam jednak, że coś się zmieni i zamiast uwarunkowań politycznych zaczną decydować sprawy merytoryczne.

– Życzę pomyślności.

Rozmawiał:

Konrad Frejdllich

Neo-zomowcy w akcji

Sprawę trwającego 3 miesiące strajku „rozwiązała” akcja komandosów i oddziału prewencji wezwanych przez Radę Miejską Białegostoku. Pomimo wyprowadzenia przez władze miasta 200 autobusów, sytuacja transportowa nie uległa zmianie. Mieszkańcy ślą pod adresem strajkujących różnego rodzaju epitety. Niektórzy jednak odnoszą się do nich z wyrozumiałością. Są również tacy, którzy twierdzą, że nie wiadomo, o co w tym wszystkim chodzi. Pani protokolantka, uczestnicząca w rozmowach ze strajkującymi, tłumaczy:

– Celem podstawowym jest utworzenie holdingu 3 spółek, w tym – Tymczasowego Zarządu Robotniczego (twór, na bazie którego zostanie zawiązana spółka pracownicza). Zarząd miasta powinien cofnąć umowę użyczenia nieruchomości Zakładowi Remontowo-Naprawczemu, nad którego działalnością kontrolę będzie prowadził holding, aby zlikwidować jej monopol. Władze miejskie mają także oddać zagrabione przez spółkę „Wiatra” linie autobusowe. Pozostałe postulaty dotyczą zabezpieczenia materialnego strajkujących i ich rodzin.

Po 3-miesięcznych negocjacjach nie osiągnięto żadnego porozumienia. Wśród pracowników MPK panowało rozgorzalenie – jego wyrazem był teleks wystosowany do prezydenta RP:

„Szanowny Panie Prezydencie, Ponownie z przykrością musimy zwrócić się do Pana w sprawie losu 1300 pracowników MPK i 300-tysięcznej rzeszy umęczonych mieszkańców Białegostoku. Jesteśmy zmuszeni zawiadomić Pana, że czujemy się jak Pan w roku 1980 w czasie strajku w Stoczni Gdańskiej. Jesteśmy poniewierani, lekceważeni i oszukiwani. (...) A przecież my chcemy pracować. Jeżeli protestujemy, to tylko dlatego, że nie możemy patrzeć spokojnie na rozgrabianie majątku narodowego, na uprawianie prywaty, na rujnowanie gospodarki i traktowanie robotników jak

„motloch, którego miejsce jest razem ze szczurami w kanale” – cytat z wypowiedzi wiceprezydenta Sosnkowskiego (...).

Szanowny Panie Prezydencie, Pański protest z roku 1980 miał poparcie, gdyż władza była jednoznacznie określona i zmieniona przez naród. My też mamy poparcie społeczeństwa. (...) Być może jest to nasz ostatni teleks, gdyż jesteśmy inwigilowani przez służby UOP i docierają do nas informacje o planowanym użyciu siły. W interesie słusznej sprawy położymy nasze życie na ołtarzu Ojczyzny, jak robotnicy października 56, grudnia 70, czerwca 76, grudnia 81.

strajkująca załoga MPK Białystok

Cholera, znowu biją!

PS. Mamy pełną blokadę naszych dokumentów i naszego stanowiska w prasie – mass mediach.

Komandosi z...

Obawy robotników sprawdziły się – 2 września o godz. 4²⁵ na teren bazy MPK wkroczyły oddziały antyterrorystyczne. A jednak wynikiem ich akcji były jedynie „sińce i zadrapania” oraz zdemolowane autobusy i budynek dyspozytorski. Uczestnicy strajku twierdzą:

– Przecież to nie my przecięliśmy siatkę od strony ogródków działkowych. Wpadli z rumotem, z hukiem, uszkodzili autobusy, powybijali szyby, potłukli telefony w dyspozytorskim. Przed bramą dyżurowali nasi pracownicy, jeden komandos podleciał z młotem pięciokilowym, powalił chłopaka na ziemię, wywał go od różnego: „tylko się podnieś, to cię załatwię”...

– Ja męża broniłam, bo na niego skoczyło chyba z piętnastu, to mnie podrapali i pobili. Mam posiniaczone piersi.

– Spałowali tak chłopaczka, że pogotowie go zabrało, plecy miał posiekane równo.

Premiera neo-ZOMO

Wydarzenie to skomentował „Kurier Podlaski” z dn. 6.09.1991: „Dobra wiadomość dla tych, którzy ronili łyżę po rozwiązaniu ZOMO. W miniony poniedziałek oddziały prewencyjne policji miały w Białymstoku ogólnopolską premierę w starej roli. Jak za najlepszych lat komuny siłą spacyfikowano strajk okupacyjny w zajezdni MPK. Ośmiu robotników odniosło rany. Neo-ZOMO dla rozgrzewki lato też przechodziło. M.in. cztery pały „zaliczył” na ulicy pewien mężczyzna, nb. z ręką w gipsie, a gazem „poczęstowano” parę 70-letnich staruszków”. Natomiast „Gazeta Wyborcza” z dn. 4 września informuje, iż „podczas wyprowadzania autobusów przez bramę awaryjną, jeden z mężczyzn za-

atakował policjanta ręką w gipsie, w następstwie czego został kilkakrotnie uderzony pałką”.

Strajk głodowy

Kolejną formą protestu pracowników MPK stała się głodówka, do której przystąpiło 18 mężczyzn, chociaż nie wszystkim z nich pozwalał na to stan zdrowia. Ich rodziny otrzymały wsparcie finansowe z zakładów pracy z całego kraju. Pomoc ofiarowują także mieszkańcy Białegostoku. Nie reagują tylko władze. Przedstawiciele Kościoła nawołują do zaprzestania strajku, traktując głodówkę jako działanie niezgodne z Dekalogiem („Nie zabijaj”). Robotnicy zaś zamierzają wystosować list do Genewy w obronie pogwałconych praw człowieka.

KPN pomaga

Jedynym ugrupowaniem, które w przedwyborczej gorączce znalazło czas dla protestujących robotników była Konfederacja Polski Niepodległej. Wypowiada się jej przedstawiciel, Jarosław Marek Garczewski:

– Nasza historia lubi powtarzać się co 10 lat. Lech Wałęsa, nie będąc jeszcze prezyden-

osobowego grona nauczycielskiego. Mimo to, pani Godlewska przystąpiła do pełnienia nowych obowiązków.

Jak nazwać system, w którym nie ma siły na egzekwowanie obowiązującego prawa, gdzie jest ono otwarcie łamane i lekceważone, gdzie lekceważy się opinię ludzi, pracujących w niezwykle ciężkich warunkach, za żalosne wynagrodzenie nad wykształceniem nowego pokolenia? Dlaczego lekceważy się społeczeństwo państwa, które własnym wysiłkiem obaliło komunizm, zadziwiając cały świat i teraz czeka na uporządkowanie życia, gospodarki, chce mieć po prostu święty spokój? Jak długo jeszcze tolerować trzeba aroganckich urzędników, którzy w imię niejasnych celów popierają skompromitowanych działaczy bylej

tem, oświadczył, że nigdy nie zostanie podniesiona pała na robotników polskich. Skąd my to znamy? Mielśmy kiedyś do czynienia z komunistami, a teraz praktycznie nie wiadomo, z kim. Uważam, że pracownicy białostockiego MPK słusznie rozpoczęli strajk. Władze nie spieszą się ze spełnieniem postulatów, ponieważ członkowie Rady Miejskiej zasiadają w zarządach spółek przewozowych. Jest to jawna malwersacja, dlatego strajkujący domagali się, aby radni podali się do dymisji.

Nagroda i nagana

Dziennikarz Polskiego Radia z rozgłośni białostockiej, Zbigniew Zarzycki, od 14 maja zdawał relacje z przebiegu strajku pracowników MPK. Za rzetelność i szczerą informację otrzymał nagrodę od naczelnego redaktora rozgłośni. Wkrótce jednak udzielono mu nagany, zakazując składania sprawozdań z negocjacji. Kaprysy Fortuny?...

Teleksy z kraju

„Wojewoda białostocki Prezydent miasta Białystok Prezydium Rady Federacji Związków Zawodowych Pracowników Komunikacji Miejskiej wyraża stanowczy protest wobec użycia siły przeciwko strajkującym pracownikom MPK Białegostoku, mimo wcześniejszych porozumień.”

Jednocześnie zaznaczamy, że użycie siły przeciwko załodze MPK Białystok odbiło się szerokim echem wśród załóg komunikacji miejskiej w Polsce, co grozi niekontrolowanym rozwojem wydarzeń w całym kraju, a odpowiedzialność za straty materialne i polityczne spadnie na władze miasta Białystok.

Dlatego raz jeszcze wzywamy obie strony do podjęcia rozmów w celu rozwiązania zaistniałego konfliktu a Federacja deklaruje swoją pomoc jako negocjator w pertraktacjach.

Przewodniczący Rady Federacji Wiesław Gicel”

Andrzej Arczewski

Czy grozi nam powrót „onych”!

Zaczęło się przed dwoma laty, gdy nomenklaturowy dyrektor Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Stanisława Moniuszki w Łodzi pan Konarzewski uzyskał wotum nieufności od Rady Pedagogicznej. Po długiej i nieeleganckiej walce został odwołany, a na jego miejsce powołano wybraną przez radę profesor Bożenę Krasnodębską. Obowiązki swe nowa dyrektorka formalnie zaczęła pełnić od 1 grudnia 1989 r. Do pracy wzięła się energicznie, naprawiając błędy poprzednika, znosząc niemiłe decyzje, przywracając ludzi niesłusznie zwol-

nymi wszystkich, dotkniętych bzdurnymi konkursami, trzech szkół muzycznych w Łodzi. Na spotkaniu byli przedstawiciele środowisk artystycznych miasta, Akademii Muzycznej w Łodzi z jej rektorem, przedstawiciele prasy. Spotkanie, trwające ponad 4 godziny zostało w całości nagrane na taśmę magnetofonową, która jest do wglądu zainteresowanych. Opinia uczestników spotkania z wyjątkiem przedstawicieli COPSA jest jednoznaczna: skandal.

Gdy z sali padały liczne zarzuty niedotrzymania warunków konkursu, gdy wytykano niesłusowa-

Akordy fałszywej praworządności

nionych do pracy. Zajął się szkołą, podniosła ją na wyższy poziom artystyczny, rozszerzyła zakres wykładanych przedmiotów. Przywróciła placówce rangę, jaką ta szkoła miała przed siedmioletnią dyrekturą poprzednika. W pracy cieszyła się poparciem Rady Pedagogicznej – rodzice byli zadowoleni, atmosfera w szkole poprawiała się.

Nie nie zapowiadało, że w maju br. zostanie jej wręczone odwołanie z funkcji dyrektora przez Alinę Młodawę, wizytatora Centralnego Ośrodka Pedagogicznego Szkolnictwa Artystycznego. Wywołanie podpisał wiceminister kultury i sztuki Grzegorz Michalski, jednocześnie przysyłając polecenie zorganizowania konkursu na stanowisko dyrektora. Zaskoczenie było tym większe, że jak się niebawem okazało, podobna „inicjatywa” dotknęła i pozostałe szkoły muzyczne w Łodzi.

10 maja Rada Pedagogiczna zaprosiła do przemyślenia odwołania dobrego dyrektora i ogłoszenia niepotrzebnego konkursu. Odpowiedź była jednak zdecydowana: konkursy muszą się odbyć, bo tego wymaga demokracja, a dyrektor może przecież też w nim startować. Mimo ewidentnego bezsensu tego stanowiska, reprezentowanego w końcu przez wiceministra oraz dyrektora COPSA pana Bylickiego, konkurs został ogłoszony. Jedynym kandydatem była obecna dyrektorka, pani Krasnodębska.

Regulamin mówił o komisji konkursowej, składającej się z 6 osób. 3 miały reprezentować szkołę i pochodzić z wyboru Rady Pedagogicznej, pozostałe 3 miały być z zewnątrz. Okazało się jednak, że w komisji jest 7 osób, w tym 4 z zewnątrz. Wynik konkursu był... 4:3 przeciw pani Krasnodębskiej. Regulamin mówił o terminie, w jakim konkurs miał być rozstrzygnięty – 2 tygodnie od ogłoszenia w prasie. Było 10 dni. Regulamin mówił o zapieczętowanych kopertach z dokumentami kandydatów, które miały być otwarte na posiedzeniu Komisji Konkursowej w obecności kandydata. Koperta pani Krasnodębskiej była otwarta wcześniej. Regulamin mówił, że konkurs jest dwuetapowy – nikt nie uprzedził kandydatki, że drugi etap odbędzie się razem z pierwszym i tylko przypadkowo należy zawiadzać, że była na nim obecna.

W związku z tym, że kandydatka była jedna i nie „zdała”, postanowiono ogłosić drugi konkurs. Zaskoczona Rada Pedagogiczna poinformowała o przebiegu wypadków ministra Michalskiego pismem z 31 maja. Efektem było spotkanie dyrektora COPSA pana Bylickiego z radami pedagogicz-

nymi wszystkich, dotkniętych bzdurnymi konkursami, trzech szkół muzycznych w Łodzi. Na spotkaniu byli przedstawiciele środowisk artystycznych miasta, Akademii Muzycznej w Łodzi z jej rektorem, przedstawiciele prasy. Spotkanie, trwające ponad 4 godziny zostało w całości nagrane na taśmę magnetofonową, która jest do wglądu zainteresowanych. Opinia uczestników spotkania z wyjątkiem przedstawicieli COPSA jest jednoznaczna: skandal.

Gdy z sali padały liczne zarzuty niedotrzymania warunków konkursu, gdy wytykano niesłusowa-

nie się do obowiązujących przepisów prawa przedstawiając opinie prawników – wyższy urzędnik państwowy, dyrektor centralnej instytucji nadzorującej szkolnictwo artystyczne w praworządnych państwie, publicznie, wobec 300 zgromadzonych osób stwierdził, że istnieją nowe projekty prawa i cała sprawa wychodzi im naprzeciw. Nie są one jeszcze uchwalone, zatem jeszcze nie obowiązują (i nie wiadomo, czy kiedykolwiek będą obowiązywać), ale MY już się do nich stosujemy (sic!). Co na to prokurator? Przecież jest to publiczne przyznanie się do łamania obowiązującego prawa w imię jakiegoś projektu! Przyznanie się do popełnienia przestępstwa.

Ale to jeszcze nie koniec zabawy. – Oto bowiem tenże urzędnik, naciskany przez zebranych na spotkaniu nauczycieli obiecał, że jeszcze rozważy, czy zostanie ogłoszony następny konkurs. Tymczasem okazało się, że zlecenie zamieszczenia ogłoszenia prasowego o konkursie zostało złożone w redakcji już kilka godzin wcześniej. Minister – przez cały czas informowany na bieżąco – milczy.

Kolejny konkurs wyglądał jeszcze śmieszniej: działający w porozumieniu, zdeterminowani nauczyciele wszystkich szkół muzycznych, zdecydowali nie brać więcej udziału w proponowanej farsie. Zebrało się więc kadłubowe gremium, bez reprezentacji nauczycielskiej i, jak to stwierdza pani Młodawa, na podstawie złożonych dokumentów wybrano dyrektorów. Jedynym kandydatem na następcę pani Krasnodębskiej była pani Godlewska – ona też została „wybrana”. Okazała się lepsza w dokumentach... Cóż tam więc takiego przedstawiała, że nie potrzebna była już rozmowa przewidziana w drugim etapie? Czym tak zdystansowała swą rywalkę? Może przedstawiła zaświadczenie o pełnionych funkcjach w PZPR w szkole na Sosnowej? Może przedstawiła zaświadczenie o dodatkowych kwalifikacjach zdobytych na kursach organizowanych przez Wydział Propagandy i Agitacji KC PZPR, może przekonała komisję jej długoletnia (20 lat) działalność w tej, do niedawna jedynej partii robotników i inteligencji pracującej? (Kopie odośnośnych dokumentów – do wglądu.) W każdym razie, w obecności wezwanych do ministerstwa dotychczasowych dyrektorów szkoły – pani Godlewska otrzymała nominację.

Zgodnie z Kartą Nauczyciela, będącej obowiązującym aktem prawa w RP, Rada Pedagogiczna szkoły poddała pod tajne głosowanie wniosek o akceptację nowo mianowanej dyrektorki. Za przyjęciem wniosku głosowało 4,3% z ponad stu-

PZPR? Gdzie teraz są ci, którzy tyle ostatnio mówią o dekomunizacji?

W powyższej sprawie wydano kilka opinii prawników o nieodmiennie jednakowej wymowie. Zacytujmy kilka zdań z jednej z nich, podpisanej przez mecenas Ireneusza Grateła. „(...) Brak jest w aktualnym stanie prawnym podstaw, do ogłoszenia i przeprowadzenia konkursu na dyrektora (...) Należy podkreślić liczne uchybienia formalno-prawne przeprowadzonego w dniu 24 maja br. konkursu, skutkujące jego nieważnością (...) Tak jaskrawe

nieprzestrzeganie postanowień regulaminu konkursu i obowiązujących przepisów prawa stwarzają uzasadnione wątpliwości co do prawdziwych intencji organizatora konkursu i nasuwa podejrzenie manipulacji w celu powołania na dyrektorów szkół kandydatów wcześniej już zaakceptowanych i ustalonych przez organizatora (...)”. Nic dodać, nic ująć.

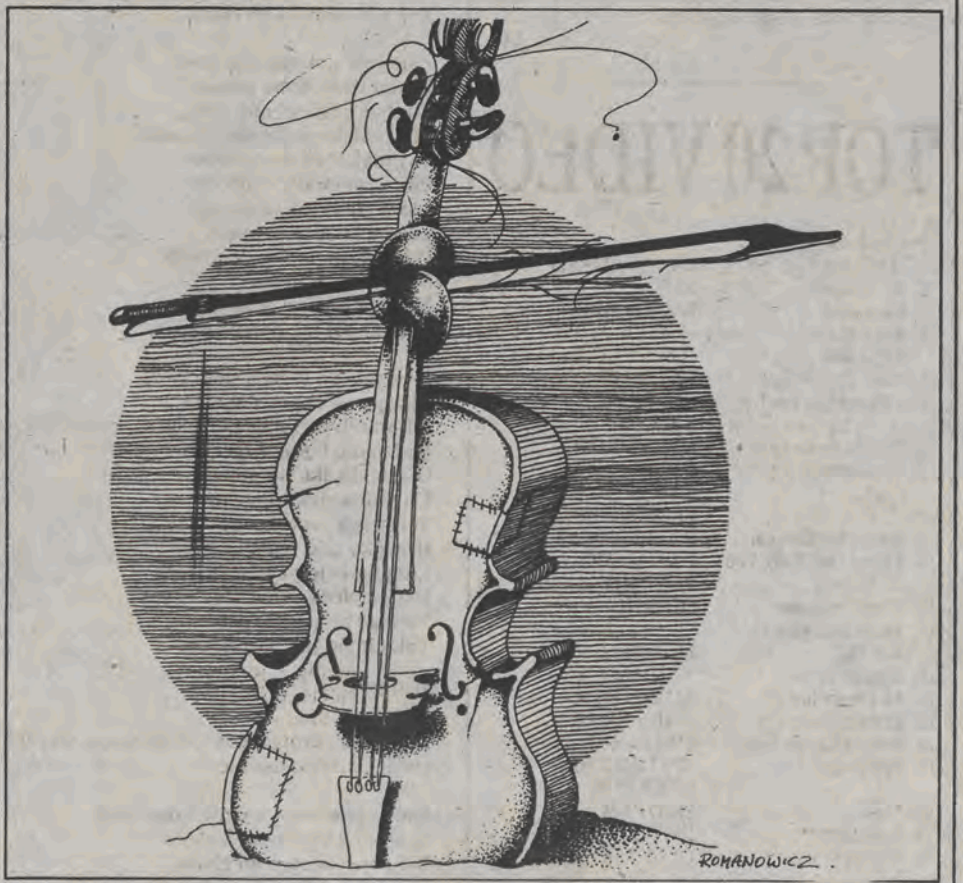
Kto zatem manipuluje? Czy pani Młodawa, która potwierdza, że jej pomysłem jest decyzja o natychmiastowym przeprowadzeniu konkursów, w pierwszym rzędzie w Łodzi, mimo że zalecenie ministerstwa daje na to dwa lata? Czy może dyr. Bylicki, który przyznaje się bezceremonialnie do łamania prawa? A może dyr. Godlewska, która nie czekając na oficjalne przejęcie obowiązków i całej szkoły, wchodzi podstępem w wolną sobotę wraz z panią Młodawą do sekretariatu i do gabinetu dyrektora szkoły i spędza tam około 6 godzin? Pod nieobecność prawowitych gospodarzy. Może w końcu wytłumaczy mam to pan minister kultury i sztuki Grzegorz Michalski, który znając całą sprawę – milczy...

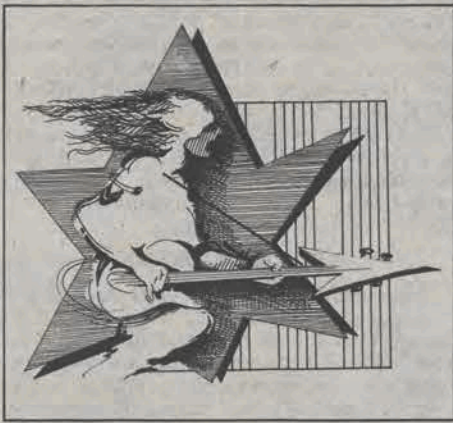
Panie Wojewodo! Jest Pan reprezentantem Rządu Rzeczypospolitej na terenie powierzonej Pańskiej pieczy. Jest Pan strażnikiem praw i porządku publicznego. Czy Pan też będzie milczał?

Ps. W szkole rozpoczęła się akcja protestacyjna w obronie odwołanej dyrektorki – a ja myślę, że także w obronie naszej godności. Czy to powstrzyma „onych” przed dalszą samowolą.

Miroslaw Borusiewicz

Autor jest przewodniczącym Komisji Kultury NSZZ „Solidarność” w Łodzi





Muzyczny serwis

Z kraju:

● Jedenasta edycja festiwalu „Rawa Blues” odbędzie się 28 września w katowickim „Spodku”. Udział zapowiedzieli m.in. Martyna Jakubowicz, Tadeusz Nalepa, Dżem, Easy Rider, Nocna Zmiana Bluesa, Monkey Business, Blues 66, Tortilla Flat oraz House Platz Blues.

● „Polskie Nagrania” wydały płytę Petera Gabriela „Shaking The Tree – Twelve Golden Greats”.

● Nakładem firmy „ZIC-ZAC” ukazały się jeszcze w tym roku płyty takich wykonawców jak: Kayah, Kult, Nazar, Kazik Staszewski (lider Kultu) oraz Walk Away.

● Firma „Paradox” została wyłącznym dystrybutorem na Polskę znanej jazzowej wytwórni płytowej „ECM”.

Ze świata:

● Annie Lennox, wokalistka duetu Eurythmics, nagrywa swoją pierwszą płytę solową, która ma ukazać się jeszcze w tym roku.

● Jack Bruce i Ginger Baker wchodzili kiedyś obok Erica Claptona w skład supergrupy Cream. Obecnie w ich ślady postanowili pójść ich synowie. Założyli najpierw zespół, a teraz nagrywają swoją pierwszą wspólną płytę.

● W nagraniu nowej płyty Buddy Guy'a „Damn Right, I've Got The Blues” wzięli udział Mark Knopfler i Eric Clapton.

● Grupa Simple Red nagrała do tej pory trzy płyty – „Picture Book” (1985), „Men And Woman” (1987) oraz „A New Flame” (1989). Czwarty krążek ma mieć tytuł „Stars” i ukazać się jesienią.

● Nowa płyta Miriam Makeby „Eyes On Tomorrow” została nagrana w Republice Południowej Afryki. W jej nagraniu gościnnie wzięli udział Nina Simone i Harry Belafonte.

● 30 września ukazuje się płyta Tiny Turner „Simply The Best” zawierająca jej największe przeboje. Na płycie mają się znaleźć również nowe, wcześniej nie publikowane nagrania. Singel promujący „Love Thing” (nowość) ukazuje się 9 września.

● Nowy album Martiki „Martika's Kitchen” promuje utwór „Love... Thy Will Be Done”. Jest to kompozycja Prince'a, który również w tym utworze śpiewa.

● Jeszcze w tym roku (prawdopodobnie w listopadzie) ukazuje się wspólna płyta Johna Lee Hookera, Toma Waitsa oraz Keitha Richardsa (z Rolling Stones).

● Płyta słynnego tenora Luciano Pavarottiego „Essential Pavarotti II” dotarła do pierwszej dziesiątki najlepiej sprzedawanych albumów z muzyką rozrywkową w Europie (obok Roda Stewarda, Seala, Eurythmics, Scorpions czy R.E.M.).

● Elton John zasiadł ponownie na fotelu dyrektorskim w swoim ukochanym klubie piłkarskim Watford (II liga angielska).

A.W.

TOP 20 VIDEO

- | | |
|---|--|
| 1. (Everything I Do)
I Do It For You | BRYAN ADAMS |
| 2. Unbelievable | EMF |
| 3. Rush Rush | PAULA ABDUL |
| 4. Right Here,
Right Now | JESUS JONES |
| 5. More Than Words | EXTREME |
| 6. I Wanna Sex You Up | COLOR ME
BADD |
| 7. Could You Be Mine | GUNS N' ROSES |
| 8. Summertime | DJ JAZZY JEFF
& THE FRESH
PRINCE |
| 9. Losing My Religion | R.E.M. |
| 10. Things That Make You
Go Hmmm... | C & MUSIC
FACTORY |
| 11. Wind Of Change | SCORPIONS |
| 12. Mama Said Knock
You Out | LL COOL J |
| 13. Poundcake | VAN HALEN |
| 14. Motownphilly | BOYZ II MEN |
| 15. I Don't Wanna Cry | MARIAH CAREY |
| 16. Don't Treat Me Bad | FIREHOUSE |
| 17. Playground | ANOTHER BAD
CREATION |
| 18. Monkey Business | SKID ROW |
| 19. Baby Baby | EMY GRANT |
| 20. Jet City Woman | QUEENSRÛCHE |

wg MTV 7.09.1991

1968

● Formuje się grupa rockowa Roundabout w składzie: Ritchie Blackmore – gitara, Jon Lord – instrumenty klawiszowe, Ian Paice – perkusja, Rod Evans – śpiew i Nic Simper – gitara basowa.

● 20 kwietnia grupa debiutuje podczas koncertu w Tastrup (Dania).

● Zmiana nazwy na Deep Purple.

● Pierwszy singel „Hush” trafia od razu na piątą miejsce listy przebojów „Billboardu”.

● Ukazuje się pierwszy longplay „Shades Of Deep Purple”.

● Grupa nagrywa drugą płytę „The Book Of Taliesyn”.

1969

● Po ukazaniu się kolejnej płyty „Deep Purple” odchodzą od zespołu Nic Simper i Rod Evans.

● Ian Gillan i Roger Glover z zespołu Episode Six dołączają do grupy Deep Purple tworząc legendarny, najlepszy skład.

● Po słynnym koncercie z Orkiestrą Królewskiej Filharmonii Londyńskiej ukazuje się płyta „Deep Purple In Live Concert At The Royal Albert Hall”.

1970

● Bruce Payne zostaje menadżerem grupy.

● Singel „Black Night” staje się pierwszym wielkim hitem grupy.

● Płyta „Deep Purple In Rock” z własnymi kompozycjami (m.in. „Speed King”, „Child In Time”, „Hard Lovin' Man”) – pierwszą złotą płytą w karierze zespołu.

1971

● Ukazuje się płyta „Fireball” z kolejnymi hitami grupy – „Fireball”, „Demons Eye”, „The Mule”, „Fools”.

● Powstaje firma płytowa Purple Records.

1972

● Najlepiej sprzedawaną płytą w Anglii staje się longplay „Machine Head” zawierający takie przeboje jak: „Highway Star”, „Smoke On The Water”, „Lazy” i „Space Truckin”.

● Zespół odbywa 42-tygodniową trasę koncertową po całym świecie, której podsumowaniem jest album koncertowy „Made In Japan”.

1973

● Wydanie płyty „Who Do We Think You Are” z przebojem „Woman From Tokyo”.

● Grupa opuszcza Roger Glover i Ian Gillan.

● David Coverdale (śpiew) i Glenn Hughes (git. bas., śpiew) – nowymi członkami grupy.

● „Billboard” ogłasza, że grupa odniosła największy sukces handlowy w dotychczasowej historii rocka.

1974

● Ukazuje się płyta „Burn” z pierwszymi w

historii grupy ductami wokalnymi (Coverdale/Hughes).

● Grupa uczestniczy w pierwszej edycji festiwalu „California Jam” obok Emerson, Lake and Palmer i The Eagles.

● Płyta „Stormbringer” zwiastuje kryzys artystyczny w zespole.

1975

23 lata historii Deep Purple



Deep Purple '91. Od lewej: Glover, Blackmore, Lord, Paice i Turner

● Ritchie Blackmore opuszcza Deep Purple i tworzy zespół Rainbow.

● Ukazuje się płyta „24 Carat Purple” (przeboje grupy plus cztery utwory w wersjach koncertowych).

● Nowym gitarzystą grupy zostaje Amerykanin Tommy Bolin.

● Po nagraniu płyty „Come Taste The Band” zespół wyrusza na półroczną światową trasę koncertową.

1976

● Deep Purple przestaje istnieć.

Byli członkowie grupy tworzą nowe zespoły (Rainbow, Ian Gillan Band, Paice, Ashton and Lord, Whitesnake) i wydają płyty solowe.

Ukazuje się płyty Deep Purple zawierające utwory już znane (składanki) oraz materiały dotąd nie publikowane, w tym kilka płyt koncertowych.

1983

● Ian Gillan zwraca się do Ritchiego Blackmore'a i Rogera Glovera z propozycją reaktywowania grupy.

1984

● Po spotkaniu w Stowe (USA) najsłynniejszy skład Deep Purple: Blackmore-Gillan-Glover-Lord-Paice postanawia wznowić działalność.

● Grupa podpisuje kontrakt z „Polydorem”.

● W listopadzie ukazuje się płyta „Perfect Strangers”.

● Zespół wyrusza na światową trasę koncertową.

1985

● „Perfect Strangers” zostaje platynową płytą.

● Bardzo udane (również pod względem finansowym) tournée po Stanach Zjednoczonych.

● Wytwórnia „Harvest” wydaje „The Anthology” – przekrojowy album zawierający m.in. – trzy nagrania wcześniej nie publikowane.

1987

● Ukazuje się płyta „The House Of Blue Light”.

● 26 stycznia koncertem w Budapeszcie grupa rozpoczyna światową trasę promującą „The House Of The Blue Light”.

● Zaczynają się konflikty w zespole, przede wszystkim między Blackmorem a Gillanem.

1988

● Wspólna płyta Iana Gillana i Rogera Glovera – „Accidenty On Purpose”.

● Singel z nową wersją przeboju sprzed 20 lat „Hush” ukazuje się jako pilot podwójnego koncertowego albumu „Nobodys Perfect”.

● Ian Gillan odchodzi od zespołu, a właściwie zostaje wyrzucony.

1989

● Grupa przesłuchuje kandydatów na miejsce zwolnione po Ianie Gillanie oraz przygotowuje materiał na nową płytę.

1990

● Nowym wokalistą grupy zostaje Joe Lynn Turner (były wokalista Rainbow i grupy Yngwie J. Malmsteena – Rising Force).

● Wydana zostaje płyta „Slaves And Masters”.

1991

● Trasa koncertowa po Europie, USA i Ameryce Południowej związana z promocją płyty „Slaves And Masters”.

● 23 września koncertem w poznańskiej „Arenie” grupa ma rozpocząć drugą część europejskiej trasy koncertowej.

Andrzej Woszczyk

WIERSZE PIĘKNE

Czesław Miłosz

Piosenka o porcelanie

Różowe moje spodeczki,
Kwieciste filiżanki,
Leżące na brzegu rzeczki
Tam kiedy przeszły tanki.
Wietrzyk nad wami polata,
Puchy z pierzyny roni,
Na czarny ślad opada
Złamanej cień jabłoni.
Ziemia, gdzie spojrzysz, zasłana
Bryzgami kruchej piany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Zaledwie wstanie jutrenka
Ponad widnokrąg płaski
Słychać gdzie ziemia stęka
Malańskich spodeczków trzaski.
Sny majstrów drogcenne,
Pióra zamarzłych łabędzi
Idą w ruczaję podziemne
I żadnej o nich pamięci.
Więc ledwo zerwę się z rana
Mijam to zadumany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Równina do brzegu słońca
Miazga skorupki pokryta.
Ich warstwa rzeško chrupiąca
Pod mymi butami zgrzyta.
O świecidełka wy płone
Co radowałyście barwą
Teraz ach zaplamione
Brzydką zakrzepłą farbą.
Leżą na świeżych kurhanach
Uszka i denka i dzbany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Washington D.C., 1947

Żal. Tyle odmian żalu. „A przecież mi żal”, śpiewało całe pokolenie.

Ktoś z płaczem ku mnie z dna losu
Bezradną wyciąga rękę!
Nie znam obcego mi głosu,
Ale znam dobrze tę mękę!

Pisał mistrz żalu, samotności i po bezkres wołania – Bolesław Leśmian. Wołania, a zawsze bez odpowiedzi. Lub jeszcze inaczej: więc jak tu nie wspomnieć przesylnego – „Jedźmy, nikt nie woła”.

Całe księgi żalu: za utraconym dzieciństwem, przepadłym światem niewinności, pięknem ciała, które było niegdyś wszystkim i jak mawiał Gottfried Benn, „zwało się upojeniem i domem”. Żal tych tylko przespianych nocy, w kwiecie wieku, w rozkwicie świata:

Noc Mistrzu Ciągle noc Przyszłam
a ciebie już nie było,

że przywołam poetę Krystynę Kwiatkowską.

„Różowe moje spodeczki, kwieciste filiżanki”. Może, to wszechobecny w nas żal, niezależnie od życiowych okoliczności – obfitości lub głodu.

Bądź nie żal, lecz nienasyconie, brak, ściąganie pełni. Coś, co każe mężczyźnie łączyć się z kobietą. Młodości podziwiać dojrzałość. Dojrzałości sycić się młodością, aż do rozzerwienia oczu, dla tych kilku kolorowych obrazów sprzed lat. Dzieciom naśladować rodziców, ludziom bogów, a bogom ludzi jak u starożytnych Greków.

Może ta porcelana, to świat najgłośniejszych marzeń, które nie wydały głosu i umierają, ale czy na pewno i w istocie bezgłośnie dla wyczułonego ucha:

Słychać gdzie ziemia stęka
Malańskich spodeczków trzaski

Może ta niepełność, nierównomierność talentów i możliwości, piękna i wyobraźni każe ciągle ludziom i światu żyć. Raz górą księżyc ciemności, raz wtóry jasności. To dobro, to zło. Chwiej się szale wag. Pomiedzy tymi, którzy strzelają i tymi, którzy opatrują rany. Ktoś kochają i którzy nienawidzą. Ale dopóki wśród wszystkich własnych i świata okrucieństw dosłyszysz słowo poety:

Więc ledwo zerwę się z rana
Mijam to zadumany.

Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany
powtórzysz też za Herbertem –
czuwał kiedy światło na górach daje znak...
Bądź wierny Idź

Wybór i komentarz:

Andrzej Babaryko



The Boat (Łódź) – Jeden z najgłośniejszych filmów lat osiemdziesiątych. Poprzez emocjonującą odyseję załogi niemieckiej łodzi podwodnej w czasie II wojny światowej, reżyser Wolfgang Petersen próbuje ukazać inne oblicze wojny, w której stopniowo mniej ważne staje się zwycięstwo, a zaczyna dominować pragnienie przetrwania.

Warlock – Szatan w powłoce wysokiego blondyna, który trzysta lat temu został skazany na śmierć za zdradę i czary, przenosi się do współczesnego Los Angeles. W pogoni za nim udaje się nieustraszonego rycerza Giles Redferne, który jako jedyny może spowodować powrót Warlocka w XVII wiek. Bardzo interesujący film, łączący w sobie elementy thrilleru i utworu science-fiction. Doświadczony reżyser Steve Miner bez zbędnych udrziwnień i komplikacji stara się opowiedzieć swoją historię, z umiarem dozuując przemoc i elementy czarnego humoru.

Old Gringo – Dramat obyczajowy, rozgrywający się w realiach meksykańskiej wojny domowej w 1913 roku. Bohaterami tej epickiej opowieści o walce, pasji i miłości są: znany pisarz, amerykańska nauczycielka i generał wojsk rządowych. Bardzo interesujące kreacje Jane Fonda i Gregory Pecka podnoszą wartość tego nieprzeciętnego filmu.

BAT 21 – Kolejny dramat wojenny, którego akcja rozgrywa się w Wietnamie. Wybitny strateg, pułkownik Hambleton zostaje zestrzelony z linią frontu. Na jego poszukiwanie wyrusza kapitan Clark, który ma odnaleźć pułkownika, zanim trafi on w ręce Vietcongu. Ciekawy, trzymający w napięciu film ze znakomitą rolą Gene Hackmana.

Marek Stypaniak

Sojka w Łodzi

16 września o godz. 19 odbędzie się w Teatrze Muzycznym jedyny koncert Stanisława Sojki i Janusza Janiny Iwańskiego. Wykonawcy będą podpisywać płyty i kasety ze swoją muzyką.



Podśluchane podpatrzone odnotowane

Za kulisami Sopotu

Było ich 25, chociaż licząc składy zespołów znacznie więcej. Przyjechali do Sopotu, aby walczyć o 45 tysięcy dolarów i większe uznanie (w wypadku nagrody) we własnym kraju. Po pierwszej eliminacji ci wybrani przez jury poczuli się znacznie lepiej i pewniej. Ale nie wygrali najlepsi, tu zdania były podzielone.

Rockowa grupa **NEW MOON** z bałtyckiej Republiki Łotwy to zespół raczej na średnim poziomie. W kuluarach mówiono, że otrzymali Grand Prix ze względów bardziej politycznych (sytuacja w ZSRR, samodzielność Łotwy) aniżeli artystycznych. Kim więc są ci „najlepsi” w konkursie o Grand Prix XVIII Międzynarodowego Festiwalu Muzyki „Sopot'91”?

Jej członkowie spotkali się po raz pierwszy w Rydze w 1987 roku. Ich muzyka znajduje się pod wpływem melodycznych i rytmicznych tradycji łotewskiego folkloru. Pomimo dekad komunistycznej dominacji na Łotwie teksty New Moon są pisane z głębi duszy. Wiodącymi postaciami w grupie New Moon są wokalista **Ainars Mielavs** i gitarzysta **Gints Sola**. Mielavs jest profesjonalnym artystą i



Dream Police

absolwentem Łotewskiej Akademii Sztuki. Przez kilka lat uczył malarstwa, ale równocześnie stał się jednym z najbardziej znanych radiowo-telewizyjnych dysk-dżokejów na Łotwie. Gints Sola odpowiada za brzmienie dźwięków grupy i jest najznakomitszym gitarzystą na Łotwie.

Członkowie grupy mówią, że ich muzyka wyzwala jedność między nimi i ich publicznością. Poza Łotwę występowali w Szwecji, Gotlandii, w Londynie, w Nowym Jorku, w Chicago, Toronto. W październiku 1990 roku nagrali kilka płyt w londyńskim „Lavender Sound Studio”. W tym samym czasie jeden z najbardziej znanych londyńskich krytyków muzycznych Art Troitsty wprowadził New

Moon do telewizyjnego programu „Power Station”.

W Sopocie byli grzeczni i jakby niewidzialni, bo nie pokazywali się na bankietach, koktajlach i... na sopockim deptaku. Wokalista tak bardzo cieszył się z Grand Prix, że walczył pięścią w stół, omal go nie rozwalili z radości!

DREAM POLICE – to czterech młodych i ogromnie ambitnych Norwegów o wspólnych zainteresowaniach ciężkim rock'n'rollem. Przez kilka miesięcy dużo o nich mówiono i pisano w Norwegii. Niedawno ukazał się ich album. Liderem jest **Trind Hokter**, znany już z roli git. rzysty grupy „Ole Ewnrudes”. Trind zebrał wokół siebie trzech wspaniałych muzyków. Wokalista **Old Rerie Andersks** jest równocześnie ekspertem w grze na harmonijce. Grają mocne kawalki hard-rockowe oparte na bluesie. Taki rodzaj muzyki uplasował ich pierwszy album na 9 miejscu norweskich list przebojów. Album ten jest nominowany do norweskiej Grammy w kategorii rocka.

Grupę można było spotkać wszędzie, zachowywali się głośno, nosili wysoko, rozdając autografy na prawo i lewo, chociaż nastolatki nie wiedziały jak się nazywają. Liczyli na sukces. Druga nagroda „Sopotu 91” należy im się w pełni zasłużenie.

ETTA SCOLLO, piosenkarka tak filigranowa, że prawie nie było jej widać ani na estradzie, ani na widowni, ale gdy zaczynała śpiewać, słychać ją było daleko za Operą Leńską. Przybyła z Sycylii, ale uważana jest za piosenkarkę austriacką. Jej piosenki goszczą tam na czołowych miejscach przebojów. Urodziła się w 1958 roku w Katanii jako druga córka adwokata. W 1964 roku wzięła udział w włoskim dziecięcym konkursie piosenki. Studiując w Turynie, śpiewała boogie i jazz. We wczesnych latach osiemdziesiątych miłość przywiodła ją do Wiednia, gdzie jej talent po pewnym czasie został nagle ujawniony.

Dzisiaj ma nowy LP, zatytułowany „Io Vivro” ze znakomitymi aranżacjami. To bardzo osobiste piosenki, przeważnie autobiograficzne. I mimo że mała Etta jest uważana za silną kobietę, nie boi się ujawniać swoich słabości. Płyta „Io Vivro” zdaniem krytyków jest arcydziełem, fascynującym zwierciadłem, w którym odbija się Etta Scollo jako kobieta. Ta mała, silna kobieta okazała się najlepszą piosenkarką wśród pań. III nagroda jest zbyt niską oceną jej talentu i profesjonalizmu, dlatego przyznałbym Etcie – „Grand Prix”!

Redaguje:

Bohdan Gadomski

Marina? Maria Magdalena? Tytania?

Anna!!!

Rzymska premiera skompowanego przez Mikisa Theodorakisa baletu pt. „GREK ZORBA” była największym wydarzeniem artystycznym, jakie miasto nad Tybrem przyniosło tegoroczne, nie zwykle tam upalne lato.

Opera Rzymska co roku, od ponad pięćdziesięciu lat, w lipcu i sierpniu prezentuje wszystkie swoje spektakle w Termach Karakalii. Tam właśnie, pod rozgwieżdżonym niebem, w zachwycającej naturalnej scenerii, siedmiotysięczna, międzynarodowa publiczność bardzo gorąco oklaskiwała... znakomitą polską tancerkę, solistkę Teatru Wielkiego w Łodzi – **ANNE KRZYSKÓW**.

Obdarzona prawdziwie grecką urodą (kruczoczarne włosy, ciemne oczy, jasna twarz o bardzo szlachetnych delikatnych rysach) i wielkim wdziękiem oraz – co najważniejsze – ogromnym talentem, który pozwala jej łączyć silny dramatyzm wykonywanych partii baletowych z wielkim liryzmem kreowanych przez siebie ról, **Anna Krzyśków** na osobiste zaproszenie **Lorki Massine'a** – choreografa i reżysera „Greka Zorby”, a także dyrekcji Opery Rzymskiej wcieliła się w postać głównej bohaterki baletu Theodorakisa – pięknej wdowy **Mariny**.

Po swych rzymskich sukcesach **Anna Krzyśków** wróciła już do Łodzi i – jak zapewnia – jej właśnie pozostanie wierna.

– Jestem rodowitą łodzianką, tu się urodziłam i wychowałam, tu skończyłam Szkołę Baletową. Chętnie występuję za granicą, ale tylko łódzki Teatr Wielki jest naprawdę „moim” teatrem, bo w nim zadebiutowałam, w nim spotkałam najwspanialszych mistrzów i kolegów, w nim dane mi było pracować z najlepszymi choreografami, w nim poznałam wielki trud, ale także wielką radość i piękno mojego zawodu. Tu usłyszałam pierwsze oklaski, tu mam swoją publiczność. Tu, wiem to na pewno, jest moje miejsce.

– Wszystkie pamiętam wiele Pani ról, wiele znakomicie zatańczonych partii. Wszystkie były znakomite i bardzo wysoko oceniane zarówno przez publiczność jak i krytyków. Która z nich przyniosła Pani najwięcej satysfakcji?

– Do każdego zadania przystępuję z takim samym zapałem i ciekawością. Każda z powierzonych mi partii jest dla mnie impulsem do poszukiwania nowych środków wyrazu artystycznego. Wśród tych ról, które zatańczyłam nie mam więc tej jednej, jedynej. We wszystko, co robię, wkładam wiele pracy i wysiłku, więc wszystkie moje role są mi bliskie. Uczuciowo najsilniej związana jestem z postaciami **Marii Magdaleny** z „Proby” **Antala Fodora**, **Matki** z „Amadeusza” **Veredona i Mariny** z „Greka Zorby” **Lorki Massine'a**. Wymieniłam tu przede mnie choreografowie pobudzali nas nie tylko do wyjątkowej pracy scenicznej, ale także do psychologicznej analizy postaci. Być może właśnie dlatego, przez psychologiczną identyfikację z owymi postaciami, a w każdym razie przez ich silnie odczuwaną od siebie bliskość, cenię je najbardziej. Bardzo dobrze czułam się także w „Święcie Wiosny” oraz jako **Dafne** w balecie „Sylwia”. Z wielką przyjemnością wspominam także partię **Tytanii**, którą zatańczyłam w „Śnie nocy letniej”.

– Porozmawiamy o **Marinie**. Swoją interpretacją tej roli urzekła nas Pani podczas łódzkiej premiery tego baletu.

– Miło mi to słyszeć, ale urzekająca jest przede wszystkim osoba kreowana przeze mnie, **Marina**, piękna wdowa, która pokocha-

wszy młodego Amerykanina zrzuci więzy surowej obyczajowości i zbyt twardych, niemal nieludzkich praw greckiej wsi. **Marina** przeżywa dramat wyboru i wybuch nieznanego sobie wcześniej bardzo gwałtownej namietności. Przygotowanie i wykonanie tej partii dostarczyło mi olbrzymiej satysfakcji.

– To uczucie spotęgowało się zapewne w chwili, gdy **Lorca Massine** zaprosił Panią do udziału w spektaklu Opery Rzymskiej?



Foto: Chwalisław Zieliński

– O tak! Jego zaproszenie było bowiem rodzajem oceny mojej pracy w Łodzi. Pracowałam tam nie tylko z wysoko cenionym, bardzo przeze mnie szanowanym i lubianym **Lorcą Massinem**, ale także ze wspaniałymi tancerzami: partię **Zorby** tańczył znakomity **Raffaele Paganini**, **Johnem** był **Guido Pistoni**, a w rolę **Hortensji** wcieliła się **Patrizia Lollobrigida**. Wszystkim wykonawcom tego przedstawienia wiele emocji dostarczyła obecność – za pulpitem dyrygentkim! – samego **Mikisa Theodorakisa**. Jego przyjazd do Rzymu stał się wielkim wydarzeniem.

– Jakich wrażeń dostarczyła Pani praca w nowym zespole i wyjątkowe, najzupelniej nietypowe miejsce prezentacji rzymskiego przedstawienia „Zorby”?

– Początkowo, podczas pierwszych prób, bardzo bacznie i z pewną rezerwą obserwowano moją pracę, ale po dwóch dniach wszyscy wloscy koledzy stali się moimi serdecznymi przyjaciółmi i troskliwymi opiekunami. Pracowaliśmy z wielką radością w atmosferze szczerzej wzajemnej sympatii. Amfiteatr mieszczący się w Termach Karakalii jest ogromny, a jego scena bardzo pochyla, ale nie jest to trudność, której nie dałoby się pokonać. Ocalałe mury Term mają wysokość 33 metrów i są doprawdy imponujące. Same w sobie są doskonałą scenografią. Jedynym dodatkowym i bardzo efektywnym współczesnym jej elementem (zapropozowanym zresztą przez mistrza **Massine'a**) była ogromna smuga światła idąca zza sceny w rozgwieżdżone niebo. W jej świetle rozgrywały się ducy **Mariny** i **Johna**. Po każdym spektaklu nad tym cudownym miejscem przez wiele godzin rozbłyskiwały różnobarwne sztuczne ognie, których efektowne pokazy urządzano tam co wieczór. Dzisiaj myślę, że dzień rzymskiej premiery „Greka Zorby” był jednym z najważniejszych momentów mojego życia...

Rozmawiała:

Ewa Pankiewicz

Od dłuższego czasu trwają prace nad projektem nowego prawa o muzeach, które miałyby zastąpić niedawno zniesioną ustawę o Ochronie Dóbr Kultury i o Muzeach w części ich dotyczącej. To co najistotniejsze w nowo projektowanej ustawie, to nadanie muzeom wyższej rangi przez założenie centralnego rejestru muzeów i ochronę prawną nazwy. Główny sens wprowadzanych poprawek zmierza do tego, że ma to być instytucja niepodatna na koniunkturalne zmiany polityczne, o charakterze naukowo-popularyzatorskim, której celem jest przechowywanie świadectw przeszłości i współczesnej cywilizacji człowieka dla przyszłych pokoleń. Jej głównym zadaniem byłoby więc tworzenie kolekcji, zbiorów będących obecnie i w przyszłości przedmiotem zainteresowań dla historyków i znawców kultury.

Nasze burzliwe dzieje są szczególnie narażone na to, by stać się przedziej czy później zbiorem legend lub opisów mniej, lub bardziej rzetelnych, wiarygodnych i sprawdzalnych. Po pewnym czasie okazuje się, ile faktów było nieznanymi, ile pamiątek zostało zniszczonych, ile wspomnień umarło wraz z tymi, którzy pielegnowali je jedynie w swej pamięci. Im dalej w przeszłość – tym mniej pewnych informacji, tym mniej dowodów, tym więcej opisów i relacji wątpliwej wartości.

Muzeum i jego działalność kolekcjonerska jest tworzeniem gleby, w którą współczesne społeczeństwo zapuszcza swe korzenie w trakcie rozwoju i z której czerpie świadomość własnej tożsamości, jedności w aspekcie nie tylko geograficznym, ale i historycznym. Wystawa muzealna jest dla przeciętnego widza sposobem na umiejscowienie siebie i narodu czy społeczności, z którą się identyfikuje, wśród innych narodów i społeczności Europy i

świata. Jest dowodem na powagę własnej kultury, nauką o pochodzeniu kultywowanych zwyczajów, wierzeń, przesądów, a nawet wiedzy czy języka ojczystego. Jest formą edukacji społecznej, upowszechnieniem wiedzy o losach własnej grupy etnicznej czy narodowej, o dziejach ziemi, na której przyszło mu żyć i pracować, a o której czasem myśli z niechęcią i zastanawia się, czy jej nie opuścić, szukając gdzieś w świecie poprawy losu.

Zebrańce obiekty muzealne, z oczywistych

Czy stać nas na muzea?

względów muszą być odpowiednio konserwowane i magazynowane. Nie po to przecież wydaje się pieniądze na zakupy czy badania poszukiwawcze, by zdobyte pamiątki niszczyły nie konserwowane czy niewłaściwie przechowywane. I nie największy problem w stracie materialnej, ale w zniszczeniu unikatowych często obiektów o dużej wartości naukowej i dokumentacyjnej. Projekt przewiduje konkretne rozwiązania w statutach muzeów, konkretne kompetencje i obowiązki dyrektorów, organów założycielskich i właścicieli. Te instytucje muzealne, które nie będą wypełniały warunków ustawy, nie zostaną wpisane do rejestru i nie będą mogły używać nazwy „muzeum” – pozostaną galeriami czy kolekcjami.

Zmniejszenie funduszu muzeów państwowych o 1/3 w wielu wypadkach postawi pod znakiem zapytania dalsze istnienie instytucji. Muzea łódzkie z pewnością będą miały olbrzymie kłopoty. Żeby tyl-

ko starczyło na ciepłą wodę, energię elektryczną, czynsz i płace dla pracowników... Może ich pozwalniać? – skąd potem wziąć takich, którzy będą specjalistami w swej dziedzinie, zgodzą się pracować za już nawet nie 90 proc. średniej płacy krajowej? Nie zapłacić za ciepło? – elektrociepłownia odetnie dostawę, popękają zimą grzejniki c.o., zgromadzone zabytki szlag trafi, bo przecież w dużej części to starożyte wymagające opieki i odpowiedniego mikroklimatu. Może nie płacić czynszu PGM-owi?

W gruncie rzeczy po co istnieje PGM, skoro np. Muzeum Historii Miasta Łodzi, zajmujące wspaniałą pałac Poznańskich, wszelkie naprawy wykonuje we własnym zakresie i za własne pieniądze. Ostatnio w związku z niezwykle kosztownym remontem dachu pałacu, dokonywanym jak zwykle na koszt muzeum – bałucki PGM zgodził się łaskawie, by przez rok zadowolili się jedynie 10 mln zł miesięcznie, zamiast pobieranych stale ponad 14 mln. Ciekawe na co idzie tych pozostałych 10 mln miesięcznego czynszu, na co 14 mln, gdy PGM jest mniej łaskawy i dach akurat nie cieknie?

Problem sprowadza się do tego, że z dotacji na rzecz muzeum, płynącej z budżetu państwa, pośrednio finansowany jest PGM, mimo że istnieją przepisy, które mówią o zasadach zwolnień od opłat czynszowych instytucji muzealnych, mających swe siedziby w obiektach zabytkowych. Czyżby nie dotyczyły one muzeów łódzkich?

Są muzea, które usiłują „dorobić sobie” wykonując odpłatnie usługi konserwatorskie, udostępniając sale. Jeżeli rzeczywiście taka działalność przynosi dochód – może być godna poparcia. Jednocześnie rodzi się refleksja: czy nie istnieje granice aktywności muzealnej na polu ekonomii? Czy muzeum może rozpocząć produkcję gumy do majtek lub wejść w spółkę z piekarnią po to, by polepszyć swą sytuację finansową? Czy nie grozi to tym, że zamiast spełniać statutową rolę instytucji ochrony dóbr kultury, a więc zabiegać o wartościowe eksponaty, powiększać zasoby kolekcji i wiedzy – będzie polowało na większy zysk, na lepszy interes?

Czy reforma ekonomiczna, jaką przeprowadzamy ostatnio, w ten sposób ma się odbić na funkcjonowaniu muzeów? Naczelna zasada sformułowana przez Międzynarodową Radę Muzeów ICOM działającą przy ONZ – mówi o niedochodowym charakterze muzeów. Niekiedy zakłada się odrębne instytucje, które w swym statucie mają obowiązek odprowadzania części dochodów na konto muzeum, którym się „opiekują”. Takie giganty jak **British Museum** w Londynie czy **Metropolitan Museum** w Nowym Jorku prowadzą sieć eleganckich sklepów, w których sprzedaje się świetne kopie zabytków zgromadzonych na wystawach i w magazynach. I dochód to, i popularyzacja! Zastanawiam się, czy tych i wielu jeszcze innych pomysłów nie dałoby się przenieść do naszych warunków, zanim zaczniemy konstatawać, że połowa muzeów w naszym kraju przestała istnieć?

Mirosław Borusiewicz

Dawna Łódź

Dzieje
Honorowej Odznaki

Honorowa Odznaka Miasta Łodzi została ustanowiona uchwałą Rady Narodowej m. Łodzi z dnia 16 listopada 1959 r. Przyznawano ją zespołom, przedsiębiorstwom, instytucjom i osobom za szczególne zasługi dla miasta w różnych dziedzinach pracy zawodowej i społecznej.

Wnioski o nadanie Odznaki były składane przez przedsiębiorstwa, instytucje lub organizacje społeczne i polityczne do rozpatrzenia przez Wojewódzką Komisję Odznaczeń Państwowych. Odznaki przyznawało Prezydium Rady Narodowej M. Łodzi na wniosek komisji, zaś wręczał ją osobom odznaczonym przewodniczący Rady Narodowej M. Łodzi lub osoba przez niego upoważniona podczas uroczystości państwowych, resortowych i branżowych oraz 19 stycznia - w rocznicę wyzwolenia Łodzi.

Wykonanie projektu powierzone artyście-malarzowi Pawłowi Świątkowskiemu, który szybko wywiązał się z zadania. Odznaka posiada herb Łodzi i w otoku napis: Odznaka Honorowa M. Łodzi. Miała być wykonywana ze srebra (tak zdecydowali radni i stanowią uchwały), ale rosnące koszty kruszu uniemożliwiły realizację zamierzenia. W masowej produkcji zastosowano więc tzw. biały metal.

Pierwsze odznaki wręczono 19 stycznia 1960 roku - w 15 rocznicę wyzwolenia Łodzi. a pierwszym odznaczonym został Władysław Gomułka, uczestniczący w uroczystościach jubileuszowych. Kolejne odznaki wręczono m.in. Ignacemu Łodze-Sowińskiemu - przewodniczącemu CRZZ, Michalinie Tatarównie - I sekretarzowi KŁ PZPR, Kazimierzowi Witaszowskiemu - pierwszemu po wojnie prezydentowi miasta, gen. płk. W. J. Kulpakowi i płk. A. O. Krajnowi - dowódcy jednostek wyzwolających Łódź.

Wśród odznaczonych w tym dniu znaleźli się profesorowie łódzkich wyższych uczelni: Natalia Gąsiorowska, Tadeusz Kotarbiński, Mieczysław Klimek, Jan Werner, Wincenty Tomaszewicz, aktorzy: Józef Pilarski, Kazimierz Dejmek, Jadwiga Chojańska, literat Władysław Rymkiewicz, dziennikarz: Mieczysław Jaguszewski, Bolesław Busiakiewicz, Stanisław Chruszczyński, dyrektor Wojewódzkiej Przychodni Przeciwnieżdziej prof. dr Jadwiga Szustrowa. Dyskretnie wymieniono w spisie dwie przodownicze pracy: Wandę Sydziańską z ZPB im. J. Marchlewskiego i Marię Michalak z ZPB im. S. Okrzei.

Uchwałą Prezydium Rady Narodowej M. Łodzi z dnia 30 stycznia 1960 r. została odznaczona też Odznaka redakcja „Dziennika Łódzkiego” za całokształt pracy dziennikarskiej w latach 1945-1960. Podobna Odznaka ozdabiała winietę tytułową gazety do 8 stycznia 1967 roku. W lutym 1963 roku Odznaka Honorowa M. Łodzi odznaczono tygodnik „Odgłosy”. Rysunek tej odznaki ozdabiał winietę pisma od 10 numeru 1963 roku do zawieszenia pisma w maju 1990 roku.

W latach 1960-1990 wręczono 36 984 odznak, które z każdym rokiem traciły swój walor szczególnego wyróżnienia indywidualnych i zbiorowych zasług dla miasta. Wreszcie poddano krytyce i tryb gadawania odznaki, i mechanizm rozdzielniczy, w których upatrywano preferencje dla zwolenników systemu komunistycznego. Niektórzy, niechętni zresztą radni, próbowali bronić ich odznaki oraz prawa do szacunku dla tych, którzy zasłużyli się nie tylko przez fakt posiadania jedynie słusznych wówczas legitymacji, ale przez rzeczywiste zasługi dla miasta i województwa.

13 lutego 1991 r. Rada Miejska uchwaliła ustanowienie odznaki „Za Zasługi dla Miasta Łodzi”, przyznawanej za działalność na rzecz miasta, godną szczególnego uznania. Odznaka ma być przyznawana z okazji rocznic tehyba bład maszynowy, winno być rocznicą nadania praw miejskich Łodzi i Święta Niepodległości. Odznaka może być przyznawana na uzasadniony wniosek; przewodniczącego Rady Miejskiej, wiceprzewodniczących tejże Rady oraz Komisji Rady Miejskiej, Zarządu Miasta Łodzi, wreszcie partii politycznych, organizacji naukowych, społecznych i zawodowych. Zadziwia brak w regulaminie prawa do wystąpienia z wnioskami ze strony po prostu pracodawców, czyli przedsiębiorstw i instytucji, co należy uznać raczej za przeoczenie ze strony projektodawców regulaminu niż celowe zamierzenie.

Zastąpienie dotychczasowej odznaki odznaki „Za zasługi dla Miasta Łodzi” odbiera jej ostatni walor odznaki honorowej, zaś nowa nazwa podobna jest do niesławnego medalu „Za zasługi dla obronności kraju”. Szczerliwie rozważanie upatrywałbym w uchwaleniu Odznaki Honorowej „Za zasługi dla Łodzi”, bez tego ciągłego podkreślania, że Łódź jest miastem.

Andrzej Kempa

Rudi Zimmermann był elektromonterem. Przesłano go z Rzeszy, żeby wybudował na dworcu podstację ułatwiająca przepływ prądu zasilającego składy elektryczne trakcji Skierniewice-Warszawa-Mińsk Mazowiecki. Budował ją w ostatnim półtoraroku okupacji. Niemieckie władze umieściły go w jednym z dwóch najpocześniejszych pokoiów naszego domu, którego Wohnungsamt (może inaczej zwał się ten urząd - już nie pamiętam) zarekwirowały na kwatery dla delegowanych niemieckich pracowników technicznych. Tak się jakoś szczęśliwie składało, że były to osoby niegroźne, nie wadzące, a nawet - z jednym wyjątkiem - dość sympatyczne. Rudi był ostatnim z przymusowych sublokatorów. Mieliśmy szczególne powody, żeby pamiętać o Rudim przechowywać przez dziesiątki lat spotkań rodzinnych.

Choćby z powodu gapiostwa naszego Ubermenscha, które, z czasem domyślaliśmy się, było gapiostwem z własnego wyboru. Oto jeden z zapamiętanych wypadków. Rudi wyjechał na urlop do Hamburga - jak się zdaje, miasta rodzinnego. Właśnie w czasie jego nieobecności, a miała potrwać dwa tygodnie, zdawałem na tajnej polonistycznej egzamin z gramatyki historycznej. Tak się złożyło, że pojechałem nań do Warszawy z ciężką grypa. Mój egzaminator, profesor Witold Doroszewski miał również grype. Po wzajemnej wymianie doświadczeń z dziedziny cudownych środków leczniczych, przeszliśmy do meritum i egzamin zdałem celująco. Wróciłem do domu z przekonaniem, że czeka mnie wreszcie rozkosz łóżkowej kuracji. Niestety, w domu czekał na mnie z oznakami niezwykłego zdenerwowania „Konrad” - wydelegowany z Warszawy szef propagandy NOW, człowiek o niezwykłym antypatentem do wszelkiej działalności konspiracyjnej. Odwoławszy mnie na stronę oświadczył z wrodozma, lecz tym razem zupełnie uzasadnioną, nerwowością: *Kolego! Stało się nieszczęście. Było u mnie gestapo. Na szczęście wyniknęłam się. Skonfiskowali maszynę, powiechacz, gotowy numer „Głosu Narodu” i materiały do następnego. Tego właśnie z wierszem kolegi. Nie pamiętam, czy waz wiersz już był podpisany pseudonimem, czy tak, jak dostarczyciel: z nazwiskiem. Niezawodnie szukają mnie, wobec tego musie mnie przenocować. Rozkaz! A rano ich zmyślę nagłym wyjazdem.*

Po naradzie z ojcem, a w najcisłej tajemnicy przed matką, posłałem mu w pokoju Rudiego. Nie tylko dlatego, że był pusty, lecz że na parterze i od leśnej strony ogrodu, więc w razie niebezpieczeństwa łatwo było skoczyć w gąszcz i szybko dostać się za miasto. Przez całą noc nie zmrzyliśmy z ojcem oka, przy czym to moje czuwanie i napięcie nerwowe podzielało na grype jak ręka odjął... Niestety, nad ranem rozległo się uporczywe dobijanie się do drzwi wejściowych. Z początku (podstępnie) w miarę głośne, ale już po minucie dość gwałtowne. Wyrwaliśmy z ojcem „Konrada” z błogiego snu i poleciwszy mu błyskawicznie przyskoczyć oknem, z duszą na ramieniu, powlekliśmy się możliwie najwolniej do drzwi. Na szczęście, zamiast gestapo, stał za nimi nieudolny zmęczony Rudie. Po najwziewszyszym poinformowaniu nas, że powrócił wcześniej, gdyż nie był w stanie wytrzymać ustawicznego przesiadywania w schronach i nasłuchiwanie huków i walenia się w grzyby całych ulic. Po czym otworzył drzwi do swego pokoju i natychmiast wrzasnął głosem nadludzkiego przerażenia: „Der Dieb!”, „Złodziej!” Oczom jego, i za chwilę naszym, ukazał się osobliwy widok: pod łóżkiem tkwił w postawie skucznej, w samej tylko kusej koszulnie, „Konrad”, z wymierzonym w stronę wchodzącego rewolwerem. Jak umiałem najszybciej i najbardziej przekonywająco wytłumaczyłem Rudiemu, że to jest mój wuj, Wladek. Przyjechał całkiem nagle, przez to nie mieliśmy gdzie przenoćować, więc bardzo przeprosiliśmy, że rozporządziliśmy jego, Rudiego, pokojem. A wuj nasz „er hat seine fünf Sinne nicht beisammen”, co mniej więcej znaczy: nie ma wszystkich klepek w porządku - i przez to uwielbia zabawę w straszenie ludzi dziecinną zabawką do strzelania na niby, zwana korkowcem. Rudi owe moje pozabawione minimalnego sensu wyjaśnienie przyjął do wiadomości, po czym obaj panowie - wymie-

Dalej poszedł sam i do dziś nie nadszedł list z Hamburga

nieszniejszy bodaj ukłony - mineli się pokojowo w drzwiach. Rudi runął na nadspodziewanie ciepłe łóżko i ani na drugi dzień, ani nigdy potem nie napomknął o tej przygodzie z „niemadrym wujkiem”.

Za to poczuwszy niebawem jakby przypływ sumienia, że tak niemiecki przyspieszył wyjazd z Hamburga, pojechał tam raz jeszcze. Znowu miało go nie być dwa tygodnie. W tym czasie sekcja teatralna naszego tajnego miejscowego Koła Akademickiego postanowiła wystawić dla kolegów i starannie wyselekcjonowanych senioritates miasta wraz z przywódcami podziemia trzy pogodne jednoaktówki. Przewidywany dochód przeznaczaliśmy na dozbrojenie. W tym czasie można było kupować broń od maruderów z Wehrmachtu, a zwłaszcza od wiarusów z niemieckich sił posiłkowych, nazywanych dopiero znacznie później w podręcznikach „własowcami”. Mieliśmy kłopot ze znalezieniem w miarę obszerniejszego pomieszczenia i wybór padł na nasz opustoszały hof. Opustoszały, ponieważ od niego właśnie prowadziły drzwi do pokoju Rudie-

już inna sprawa. A tymczasem „Jude” (Zbyszek Rycielski), jako że przedstawienie się skończyło, nie zrażony „zdemaskowaniem”, zaczął obchodzić zebranych z wyciągniętą jarmułką i zbierać ofiary na kupno broni. Robił przy tym zabawne miny i gesty przedwojennego szponcesowego Żyda. Do nieproszonego gościa, z najmniej oczekiwanej tu narodowości też, a jakże podszedł z jarmułką. Ten zaś, zachwycony przedstawieniem, z którego nie zrozumiał ani słowa, ani swa odkrywczością w bezbłędnym odgadnięciu narodowości kwestarza, rzucił, nie wiedząc, jaki cel tak hojnie poparł, aż sto reichsmarek. Po czym wziął walizkę i odszedł do swego pokoju. I tym razem o nic więcej nie pytał.

Pewnej niedzieli gestapo przyszło po mnie. Ponieważ nie przyszło o swej rutynowej porze, bo dopiero po ósmej, a w dodatku była niedziela, nie zastało mnie. Byłem w kościele. Postawiwszy domowników pod ścianą, przeprowadziło tyle gruntowna, co nie im nie dająca rewizje... i jak mieli w zwyczaju, zastawili na mnie „kocioł”. Nie doczekali się mnie, gdyż zostałem

Rudi - przymusowy sublokator

go (dawny salon) i drugiego, nie zajetego od jakiegoś czasu (dawny gabinet ojca). Jednoaktówki były trzy. Ostatnia „Nikt mnie nie zna” Fredry z końcowego okresu osłabienia sił twórczych wielkiego pisarza.

Trabia wykorzystał tu stary jak świat motyw zazdrości ukaranej. Nie dowierzającej żonie hreczkosiej wybierał się niby to w dłuższą podróż, lecz niebawem zjawia się we własnym domu, w oficerskim mundurze i podaje się za nie znanego jej przyjaciela pana domu. Chce mieć, nierozpoznany, możliwość obserwacji prowadzenia się połowicy. Ta tymczasem, przejrawszy zamiary męża, postanawia go ukarać. Korzysta z faktu, że przyjechał do niej w odwiedziny nie znany młodemu mężowi szwagier, każe mu udawać z koleji jej własnego męża. W intrygu wprowadzono ją jest służba. Na dobitkę okazuje się, że oficer, który wypozyczył podejrzliwemu swój mundur i paszport, jest ściganym przez innego oficera bezzeńnikiem, który nie stawiał się do pojedynku, a także hulaka, który pożyczł od Żyda spora sumę pieniędzy na weksel, umyka przed koniecznością spłaty długu. Obaj dopadli nieszczęsnego sprawdacza cnotliwości żony i awantura na sto dwa, że nie tylko się śmiać, co też zaproszeni skwapliwie czynili. Dodajmy, że Żyd faktor w naszym przedstawieniu był w prawdziwym chaluście, jarmulce i z bajecznymi przyklejonymi pejsami, oficer i rzekomy oficer mieli mundur, wypisz, wymaluj, z regimentów królowej Madagaskaru, dekoracje zaś były dziełem koleżanki, która jest obecnie znaną plastyczką krakowską.

W chwili, kiedy intryga zmierzająca do punktu kulminacyjnego i na zaimprovizowanej scenie było najśmieszniej, czego dowodem siarczyste oklaski, w hofu zjawił się nieoczekiwanie Rudi. I tym razem skrócił urlop z tych samych co poprzednio powodów. Widząc tłumek, zagradzający mu drogę do jego pokoju, zainteresował się, czemu tei ludzie tak klaszczą, po czym przecisnął się przez zbiorowisko klaszczących i siadł najspokojniej na opróżnionym krześle w pierwszym rzędzie, między delegatem rządu na Mińsk Mazowiecki i powiat i przewodniczącym powiatowej organizacji PPS-Prawicy. Siadł i od razu, na widok wymachującego reklamą człowieka w jarmulce i chaluście, wpadł w całkiem dobrućszy zachwyt: „O, Jude!” - pokazał go precyzyjnie palcem swym dwóm dostojnym sąsiadom. Informacja ta, w dodatku w tym języku, wywołała zdumienie i zrozumiałą konsternację wśród gości, nie wiedzących kto to Rudi i nie pojmujących, że w tym okrzyku nie było zajadłej mienawości, ale nagle zaskoczenie.

Miałem potem niejaki nieprzyjemności z niedopatrznie w zabezpieczeniu lokalu. Ale to

przez nasz wywiad uprzedzony w kościele i ulotniłem się, zgodnie z instrukcją, do zacnego, patriotycznego dworu ziemiańskiego między Niemojkami a Drohiczyńcem. Natomiast Reichs-deutsch Rudi Zimmermann tym razem absolutnie nie był kimś spadłym z księżycy, który nie wie, co się dookola niego dzieje. Nie objęty „kotłem” jako Niemiec, stał kilka godzin na czatach na ulicy, tej, która powiniennem wracać z kościoła, gdybym nie był przez właściwe osoby wcześniej uprzedzony. Naturalnie w pewnej odległości od domu, by go tamci z okien nie mieli na oku. Stał tak, żeby mnie uprzedzić o tym, co się stało.

Po kilku miesiącach nieobecności, mogłem dzięki zapomnieniu sprawy, do czego przyczyniło się również tajemnicze zniknięcie akt w odnosnym urzędzie represji oraz zastrzeżenie miejscowego szefa gestapo, wrócić do rodzinnego miasta. Było to pod koniec panowania u nas hitlerowców.

Rudi świata nie widział za budowa wspomnianego podstacji. Spędzał przy niej dni i noce, chciał ukochane dzieło oddać do użytku w wyznaczonym terminie. W dniu, kiedy udało mu się dostać połączenie z Warszawą i radośnie zameldował o wykonaniu inwestycji i że nowa podstacja działa znakomicie, otrzymał kategorię rozkaz wysadzenia jej natychmiast w powietrze, który nieomnił plaćcaz wykonał.

Już wyleciały w powietrze fabryka, dworzec, koszarzy. Pociągi z niemieckimi uciekinierami, co miały odjechać w kierunku Warszawy, odjechały. Nawet dreżyny. Być może, mógł się zabrać z jakimś transportem szosa warszawska, ale on przecież mieszkał i pracował przy martwej już linii kolejowej. Czerwona luna nad Siedlcami (najbliższe miasteczko na wschód od Mińska) też się z wolna przybliżała. Moja rodzina, poniechawszy ratowania rzeczy i pamiątek rodzinnych, też już emigrowała czy wyemigrowała do wsi spokojnej. Rudi wziął walizeczkę, włożył na głowę czapkę służbową, jako karny pracownik Rzeszy i poszedł na piechotę po martwym torze. Idąc na punkt zbiorny w lesie, z pistoletem za paszuchą, zboczyłem nieco z drogi, gdyż było jeszcze co nieco czasu i odprowadziłem go, by mu nasi nie zrobili gdzieś za waleń krzywdy, w stronę De-bego. Pożegnaliśmy się bodaj w miejscu, gdzie po wojnie postawiono niezbyt potrzebna stację Wrzosów. Uścisnęliśmy sobie mocno rękę. Dalej poszedł sam. Nie otrzymałem do dziś obiecanego przez niego z zacichłego Hamburga listu.

(Z tomu przygotowywanego wspomnień: „Bardzo dziwne prawdy”)

Tadeusz Chrościelewski

„Zeszyty Historyczne” nr 94

Wsprzedaży powinien być jeszcze 94 numer „Zeszytów Historycznych” - kwartalnika wydawanego w Paryżu przez Instytut Literacki. Jest to drugi zeszyt za rok 1990. „Zeszyty Historyczne” docierają do Polski z ogromnym opóźnieniem. Wydanie krajowe jest bowiem drukowane w Polsce przez „PoMOST” spółkę z o.o. Szkoda, że tak się dzieje, gdyż „ZIH” przynosi wiele ciekawego materiału, niezbędnego dla historyków i ludzi interesujących się historią. Zaległe są obecnie jeszcze dwa numery „ZIH” z 1990 roku. Kiedy trafią do krajowego czytelnika? Nikt tego nie wie. A numery z 1991 roku?

Zeszyt nr 94 przynosi - jak to zwykle w „ZIH” - wiele interesujących materiałów, wspomnień i dokumentów oraz listów do redakcji. Numer otwiera szkic Adama Uziembło: „Desowietyzacja i

resowietyzacja Ludowego Wojska Polskiego po przełomie październikowym”. Autor po październiku 1956 został mianowany komendantem Wojskowej Akademii Politycznej. Usunięty został, gdy Władysław Gomułka wyczołfał się z październikowych przemian demokratycznych.

Adam Uziembło przypomina, że Wojsko Pol-

Po odwilży...

skie w ZSRR przyszło pod komendą oficerów radzieckich. W 1946 roku zastąpiono ich oficerami zawodowymi, którzy albo działali podczas okupacji w podziemiu, albo wrócili do kraju z Zachodu. W 1949 roku - po objęciu MON przez marszałka Konstantego Rokossowskiego - nastąpiła kolejna sowietyzacja LWP. Wyższe stanowiska obsadzono ponownie oficerami radzieckimi.

a oficerowie polscy pod fałszywymi oskarżeniami poszli do więzień, wielu zamordowano.

Po wydarzeniach października 1956 roku, gdy wojsko polskie wyraźnie opowiedziało się po stronie reformatorów, nastąpiła kolejna faza desowietyzacji polskiej armii i wojska bezpieczeństwa, a krótko później - koniec lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych - następna faza sowietyzacji. Posłużono się tu - przy pełnej aprobacie Władysława Gomułka - antysemityzmem. Autor wymienia wiele nazwisk ludzi zasłużonych i znanych. Pisze też o roli Wojciecha Jarużelskiego i Józefa Urbanowicza w prosowieckiej przebudowie LWP. Jego zdaniem różnica w postawie polskich generałów dała się już zauważyć w 1968 roku, gdy nikt nie protestował przeciw interwencji LWP w Czechosłowacji, pozwoliło to w 1970 roku wojsku strzelać do robotników, a w grudniu 1981 roku „wojsko bez oporu wyręczyło armię sowiecką, zastępując interwencje wprowadzeniem stanu wojennego”.

Jerzy Glinik

10.02.1919 r. Józef Piłsudski stworzył Sejm Ustawodawczy

„Panowie posłowie!

Półtora wieku walk, krwawych nieraz i ofiarnych, znalazło swój tryumf w dniu dzisiejszym. Półtora wieku marzeń o wolnej Polsce czekało swego ziszczenia w obecnej chwili. Dzisiaj mamy wielkie święto narodu, święto radości po długiej ciężkiej nocy cierpienia.

W tej godzinie wielkiego serc polskich bicia czuję się szczęśliwym, że przypadł mi zaszczyt otwierać Sejm polski, który znowu będzie domu swego ojczystego jedynym panem i gospodarzem.

Tymi słowami Józef Piłsudski rozpoczął swoje orędzie otwierając Sejm Ustawodawczy 10 lutego 1919 r.

Posiedzenie inauguracyjne miało uroczysty charakter. Ten dzień święcili także mieszkańcy Warszawy. Od rana ciągnęły tłumy ludzi na Wiejską, gdzie w gmachu dawnego rosyjskiego Maryjskiego Instytutu dla Panien znalazł swoją siedzibę Sejm. Galerie dla publiczności zajęły się szybko. Posłowie zasiedli w ławach poselskich, zajęli swoje miejsca ministrowie i przedstawiciele misji dyplomatycznych.

W południe do sali obrac przybył Naczelnik Państwa Józef Piłsudski w towarzystwie premiera Ignacego Paderewskiego. Piłsudski, w zwykłej kurtce strzeleckiej, w asyście czterech adiutantów, entuzjastycznie powitany przez Izbę Poselską, skierował się ku podium prezydialnemu.

Był wzruszony. Zaledwie przed trzema miesiącami powrócił z więzienia magdeburgskiego do okupowanej jeszcze przez Niemców Warszawy. Teraz jako Głowa Państwa odczytywał pierwsze w odrodzonej Polsce orędzie do Sejmu – „domu ojczystego jedynego pana i gospodarza”. Zwzięte i jasne przemówienie było bodaj jednym z najpiękniejszych wygłoszonych przez Józefa Piłsudskiego. Posłowie słuchali stojąc, wielokrotnie zrywały się entuzjastyczne okrzyki i oklaski.

Wybory parlamentarne i zebranie się Sejmu było widomym znakiem wskrzeszenia państwa polskiego zarówno dla samych Polaków jak i świata. Nader ciężkie było położenie słabego jeszcze organizmu państwowego, dopiero budowanego od podstaw w ogniu rewolucji rosyjskiej i niemieckiej oraz walk z sąsiadami o granice. Jednak wybory parlamentarne, dzięki ogromnemu wysiłkowi rządu polskiego, zostały w bardzo krótkim czasie przygotowane i przeprowadzone. Była w tym również niemała zasługa samego Józefa Piłsudskiego.

Od końca października 1918 r., po rozpadzie państwa austriackiego, Polska Komisja Likwidacyjna sprawowała władzę w Krakowie i Galicji Zachodniej. 7 listopada w Lublinie działacze ugrupowań lewicowych niepodległościowych powołali Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej z socjalistą Ignacym Daszyńskim na czele. 10 listopada 1918 r. powrócił do Warszawy Józef Piłsudski. 11 listopada zaczął się rozbrajanie Niemców w Warszawie i innych ośrodkach Królestwa Polskiego. Wieczorem Rada Regencyjna, powołana jeszcze przez okupantów, przekazała Piłsudskiemu dowództwo nad wojskiem, a trzy dni później rozwiązała się, oddając w jego ręce całość władzy.

Także rząd lubelski podporządkował się Józefowi Piłsudskiemu. Ten zaś, po kilku dniach intensywnych konsultacji politycznych, ostatecznie zdecydował się powołać nowy gabinet z premierem Jędrzejem Moraczewskim (18 XI). Rząd ten również z socjalistą na czele – w jego skład wchodziło pięciu ministrów tej samej proweniencji politycznej, tyłuż przedstawicieli ruchu ludowego oraz reprezentanci środowisk radykalnej inteligencji – kontynuował lewicową linię polityczną swego poprzednika.

Na mocy dekretu z 22 listopada, opracowanego przez rząd i zatwierdzonego przez Józefa Piłsudskiego, objął on urząd Tymczasowego Naczelnika Państwa. Do jego kompetencji należało powołanie i odwołanie rządu, zatwierdzenie przedkładanych przez rząd projektów dekretów i budżetu państwa, mianowanie wyższych urzędników państwowych, a ponadto naczelną dowództwo nad wojskiem. Piłsudski tym samym skupił w swych rękach najwyższą władzę w państwie i zgodnie z dekretem miał ją sprawować do czasu zebrania się Sejmu.

Jak wyznał dwanaście lat później w jednym z wywiadów „byłem wtedy niepisany dyktator Polski”. Ten „niepisany dyktator” swej władzy użył do wprowadzenia systemu demokracji parlamentarnej w Polsce.

Józef Piłsudski dostrzegał głębokie rozbieżności polityczne społeczeństwa, ale sam nie utożsamiał się z żadnym obozem politycznym. Nawoływał do konsolidacji narodowej, głęboko przekonany o konieczności budowy państwa w oparciu o wszystkie siły polityczne akceptujące państwowość polską. W sytuacji braku stabilizacji wewnętrznej i nie ustalonych granic – władza rządu polskiego ograniczała się wówczas do terytorium b. Królestwa Polskiego i Galicji Zachodniej – Józef Piłsudski uznawał za zadania pierwszoplanowe obok stworzenia armii także zwołanie Sejmu. Chodziło mu o to, by doprowadzić do spiesznego zwołania sejmu, ale w taki sposób, aby uniknąć ostrej walki politycznej. Sejm miał zająć się przede wszystkim sprawami wewnętrznymi i być polem działania partii politycznych.

Do idei parlamentaryzmu posiadającego niezwykle bogatą tradycję w polskim życiu publicznym odwoływały się w czasie I wojny

światowej, a zwłaszcza u jej schyłku, wiele partii i stronnictw. Ugrupowania lewicowe niepodległościowej propagowały ową ideę szczególnie chętnie, upowszechniając swoje programy i zawiartą w nich wizję republikańskiego, demokratycznego państwa polskiego. Także autorzy Manifestu rządu lubelskiego zapowiadali zwołanie w najbliższym czasie na podstawie demokratycznego prawa wyborczego Sejmu Ustawodawczego.

Przygotowanie wyborów parlamentarnych i odpowiednich aktów prawnych stało się jednym z najważniejszych zadań rządu Jędrzeja Moraczewskiego. Sprawę tę omawiano już na pierwszym posiedzeniu gabinetu i podjęto decyzję o jak najszybszym opracowaniu ordynacji wyborczej. Za podstawę przyjęto projekt opracowany kilka tygodni wcześniej przez zespół pracowników Biura Pracy Społecznej przy Radzie Regencyjnej (Mieczysław Niedziałkowski, Włodzimierz Wakar, Tadeusz Jankowski, Jan Hlasko, Henryk Kołodziejski, Tadeusz Szturm de Sztrem). Dokument ten wymagał jednak modyfikacji i uzupełnień oraz nowej redakcji.

Zadanie to powierzono Wydziałowi Sejmowemu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którego naczelnikiem został socjalista, Mieczysław Niedziałkowski. Ten młody, 25-letni, niezwykłe uzdolniony prawnik, zagorzały zwolennik jednoizbowego parlamentu, odegrał wybitną rolę w opracowaniu ostatecznego projektu ordynacji wyborczej oraz dekretu o wyborach do Sejmu Ustawodawczego. Uzupełnienia i poprawki wnieśli także Stanisław Thuggutt, minister spraw wewnętrznych i Józef Buzek, profesor Uniwersytetu Lwowskiego.

Jak wspominał potem Mieczysław Niedziałkowski: „Gorączkowo, dzień i w noc przygotowywano i przerabiano w Ministerium Spraw Wewnętrznych – w związku z żądaniami dele-

gacji różnych dzielnic prowincji i grup ludności – te dwa dokumenty. I gdy ujrzały one wreszcie światło dzienne, zdawało się, że ciężar olbrzymi spadł z serc i z myśli ówczesnych kierowników młodziutkiego państwa”.

Wielkie bicie polskich serc

przysługiwało prawo odwołania się do Sądu Najwyższego, któremu powierzono też sprawdzenie ważności wyborów.

Każdy wyborca miał prawo oddania jednego głosu, który składał osobiście w tym obwodzie, gdzie został wpisany na listę. Procedura głosowania polegała na tym, iż wyborca zgłaszał się do obwodowej komisji wyborczej z przyniesioną kartą, na której miał być wpisany odrębnie lub wydrukowany numer wybranej przez niego listy kandydatów na posłów. Tenże wyborca po sprawdzeniu jego nazwiska w spisie uprawnionych do głosowania otrzymywał od komisji kopertę, do której wkładał przyniesioną kartę z numerem wybranej listy. Po zaklejeniu koperty oddawał ją przewodniczącemu komisji, który wrzucał kopertę do urny. W ten sposób gwarantowano tajność głosowania. Przepisy ordynacji wyborczej ponadto zapewniały prawo obecności w lokalu wyborczym podczas głosowania pełnomocnikom poszczególnych list kandydatów na posłów.

Obwodowe komisje wyborcze po zakończeniu głosowania i ustaleniu liczby głosów oddanych na poszczególne listy przystępowały do podziału mandatów. Twórcy ordynacji przyjmując system proporcjonalnego rozdzielania mandatów zastosowali jego odmianę belgijską nazywaną od jego twórcy systemem d'Hondta. Polega ona na zastosowaniu określonej operacji arytmetycznej, która pozwala przydzielić mandaty poszczególnym listom w danym okręgu proporcjonalnie do liczby oddanych na nie głosów.

O kształcie i charakterze polskiej ordynacji wyborczej zadecydowały, zarówno ogólna atmosfera w kraju, radykalne nastroje społeczne, jak i przekonania oraz kwalifikacje samych jej twórców, którzy zgodnie z duchem epoki sięgnęli do demokratycznych wzorców, znanych i stosowanych w krajach zachodnich. Młode państwo polskie przyznając prawo wyborcze wszystkim swoim obywatelom, w tym także kobietom, wyprzedziło pod tym względem niektóre państwa zachodnie, gdzie kobiety otrzymały takie prawo później, na przykład w Stanach Zjednoczonych AP – 1920 r., w Anglii – 1928 r., we Francji – 1946 r., Szwajcarii – 1974 r.

Twórcy ordynacji nakreślili 70 okręgów wyborczych, przewidując ich utworzenie także na terytorium, które wówczas nie podlegało władzy rządu polskiego. Jednak dekret wyznaczający wybory na 26 stycznia 1919 r. zarządził ich przeprowadzenie tylko w 33 okręgach b. zaboru rosyjskiego i 12 austriackiego. Natomiast w Galicji Wschodniej, gdzie wybory (13 okręgów) nie mogły się odbyć wobec toczących się walk zbrojnych polsko-ukraińskich, mandaty do Sejmu Ustawodawczego mieli uzyskać b. posłowie polscy do parlamentu austriackiego. Także w b. zaborze pruskim, wtedy ciągle jeszcze pozostającym pod władzą niemiecką, wybory do sejmu miały być przeprowadzone w przyszłości.

Wraz z ogłoszeniem dekretów o wyborach została otwarta kampania wyborcza. Jej przebieg i wyniki pierwszych wyborów parlamentarnych w niepodległej Polsce zasługują na odrębne rozważania.

Kresy Wschodnie

Niemirów

Odradzał się jak Feniks z popiołów

Dzieje Niemirowa można podzielić na dwa okresy. Pierwszy – od początku miasta, a więc od XIV wieku. Drugi – od wieku XVIII, kiedy kolejnym właścicielem dóbr niemirowskich został Wincenty Potocki.

Niemirów leży przy trakcie wiodącym z Braclawia do Winnicy, nad rzeką Zaczynkiem. Na początku – tak głosi jedna wersja powstania nazwy – była to osada Mirów, którą zburzyli Tatarzy. Odbudowano ją i nazwano Nie-Mirów. Inna wersja wywodzi nazwę Niemirów od Niemiry – założyciela miasta.

W 1311 roku, po wygnaniu Tatarów z Podola, Wielki Książę Litewski Olgierd oddał Niemirów – tak jak szeregi innych miast i osad – w ręce księcia Kuriatowiczów. Później należał Niemirów do Czetwertyńskich i Wiśniowieckich.



Widok ogólny

Rok 1648 przyniósł miastu dramatyczne wydarzenia. Wojska Bohdana Chmielnickiego zdobyły Niemirów, złupili miasto i wymordowali jego mieszkańców. 30 lat później straszliwych zniszczeń dokonali w mieście Turcy, niszcząc i paląc większość jego domów.

Kroniki donoszą, że w 1685 roku Niemirów był oblegany przez Tatarów i Turków przez kilkadziesiąt dni i potrafił się obronić, zmuszając napastników do ustąpienia.

Pierwszy okres dziejów Niemirowa skończył



Rynek

się w 1702 roku, kiedy to hajdamacy, mający olbrzymią przewagę liczebną, zdobyli miasto i wymordowali mieszkańców. Wiele musiało upłynąć czasu nim miasto podniosło się z upadku.

Lepsze czasy dla Niemirowa wiązały się z podkomorzym wielkim koronnym Wincentym Potockim. Sprowadził on do miasta rzemieślników, założył fabryki perkalni, płócien, sukna oraz farbiarnie. Garbarnie niemirowskie znane były z wysokiej jakości wyrobów. Założył w Niemirowie



Ulica Kościelna

szkołę kadetów na wzór warszawskiej. Wybudował pałac z grecką kolumnadą i założył bogatą w księgozbiór bibliotekę. W 1787 roku zatrzymał się w pałacu niemirowskim Stanisław August. 3 lata później rozlokowały się w Niemirowie wojska Tadeusza Kościuszki, a od lipca 1791 roku znajdowała się tam kwatera główna przyszłego Naczelnika powstania.

Od Wincentego Potockiego, dla swego syna Jerzego, kupił Niemirów Szczepan Potocki. Później dobra niemirowskie przeszły w ręce Rosjan. Najpierw byli to Strogonowowie, a następnie Szczerbakowowie. Nawiasem mówiąc księżna Strogonowa była prawniczką Szczepana Potockiego. Rewolucja roku 1917 zastała Niemirów w rękach Szczerbakowów. W styczniu 1920 roku w ruinach niemirowskiego pałacu zamordowano księcia Szczerbakowa, księżnę Marię, księżniczkę Sandrę i innych domowników. Rozgrabiony i częściowo zniszczony niemirowski pałac pozostał jako świadek dawnych, lepszych czasów.

NAJTAŃSZĄ REKLAMĘ, SZYLD, ITP.

wykonasz samodzielnie kupując u nas

ZESTAWY LITER SAMOPRZYLEPNYCH!

- Bogaty zestaw kolorów
- Różne rozmiary i kroje
- Łatwy montaż

Sprzedaż hurtowa i detaliczna:

ŁÓDŹ, ul. Żwirki 17, tel. 36-42-44 w. 154
ul. PRZYBYSZEWSKIEGO 197/205, tel. 81-86-16

**W SKLEPACH TYCH KUPISZ NAJTANIEJ
 WSZYSTKIE MATERIAŁY POLIGRAFICZNE**



ŁÓDŹ

for Businessmen

BB DANIO

Łódź, Sieńkiewicza 3/5
 tel. 33-88-17; fax. 33-05-78
 tlx. 884221; od 8.00 do 16.00
 wszystkie soboty od 9.00 do 15.00

**Sprawdź bo stracisz!
 dla BIUR I SKLEPÓW**

- nowoczesne MEBLE z Danii i Włoch
- niezbędne KRAJALNICE spożywcze
- najtańsze KALKULATORY Citizen, Casio
- niespotykane SYSTEMY PREZENTACJI CEN
- najnowocześniejsze FAXY, CEN. TELEF. Hyunday
- rewelacyjnie tanie WYKŁADZINY PODŁOGOWE

& Babies

**ŚMIESZNY sklepik „CLOWN”
 oraz HURTOWNIA**

swoim asortymentem rozbawi i CIEBIE
 Artykuły do robienia żartów:

- znikający atrament
- brudzące mydełko
- kaszłająca popielniczka
- cukierki niespodzianki
- wesołe lusterka
- duży wybór masek
- karty do gry, z którymi na pewno wygrasz
- oraz inne straszne lub śmieszne artykuły

**DLA ODWAŻNYCH
 I WESOŁYCH**

WEJDŹ! SPRAWDŹ! KUP!
 PRZEKONAJ SIĘ SAM!
 „ŚMIECH TO ZDROWIE – BAW SIĘ
 RAZEM Z NAMI”
 U NAS KUPISZ NAJTANIEJ
**Znajdziesz nas w drugim podwórzu
 przy ul. Piotrkowskiej 69
 tel. 32-68-61 – sklep
 32-40-01 – dom**

Kto spełni Państwa najskrytsze życzenia?

**TYLKO RESTAURACJA
 NOWA EUROPA**

Al. Kościuszki 118

CZYNNA CODZIENNIE w godz. od 12 do 5 rano

- DRINK BAR z dużym wyborem napojów alkoholowych i nie tylko
- KAWIARNIA czynna w godz. od 10⁰⁰ do 22⁰⁰
- DANCING w godz. od 21⁰⁰ do 4⁰⁰ rano
- PROGRAM ARTYSTYCZNY – STRIPEASE
- ORGANIZUJEMY bankiety, przyjęcia weselne

tel. 36-88-95

**BIURO USŁUG
 TURYSTYCZNYCH**

JANOSIK

90-361 Łódź, ul. Piotrkowska 270, XIV piętro, pok. 1404
 tel. 84-70-24, 81-02-11 w. 474, 196, fax 81-59-27

PROPONUJE

- WŁOCHY: 11 dni, objazdowa, autokarowa, cena: 1,5 mln zł + 145 USD (wyżywienie własne)
- JAPONIA: 13 dni, w tym 8 dni w Niiagacie, cena: 6,5 mln zł + 250 USD (wyżywienie własne)
- CHINY: 12 dni, w tym 6 dni w Pekinie, cena: 6,5 mln zł + 240 USD (świadczenia)
- INDIE: 13 dni, w tym 8 dni w Delhi, cena: 6,5 mln zł + 170 USD
- USA – KANADA – MEKSYK – WSPY BAHAMA: 10, 14, 18 dni, ceny: 1700 – 2200 USD
- TURCJA: 3 dni w Istambule, cena: 1,2 mln zł
- PARYŻ: 3 dni, w tym licytacja samochodów z możliwością zakupu, cena: 2,5 mln
- PARYŻ: przejazdy autokarowe: 690 tys., 990 tys.
- OSLO: przejazdy autokarowe: 1,7 mln
- ZAKOPANE: terminy dowolne, pełne wyżywienie, cena: 70 tys. zł za dobę od osoby

ZAPRASZAMY

**REKLAMA SKUTECZNA
 TO REKLAMA W „ODGŁOSACH”**

WYJAZDY DO ANGLII

i z powrotem

- **TANIO ● WYGODNIE**
- MINIBUS z domu do domu**

Tel. Łódź 15-46-15

SOBIERADEK

94-042 Łódź, ul. Florecistów 1 (Retkinia), tel.: 86-42-54

- glazura i terakota mrozoodporne (import Włochy, Szwajcaria)
- boazerie i listwy
- okucia meblowe i budowlane
- płyty laminowane, wiórowe i pilśniowe
- meble kuchenne i ogrodowe
- farby, lakiery i tapety
- narzędzia i elektronarzędzia
- maszyny do obróbki drewna
- sprzęt instalacyjno-sanitarny
- usługi cięcia płyt

Godziny otwarcia: poniedziałek – piątek 10.00-18.00

TELEGAZETA

**W TWOIM TELEWIZORZE
 MONTAŻ DEKODERÓW TELEGAZETY**

w odbiornikach TV produkcji polskiej i zachodniej, m.in.: SONY, SANYO, PANASONIC, SAMSUNG, ROYAL, ULTRAVOX, TOSHIBA i wielu innych

Proponujemy również adaptację zachodnich telegazet do odbioru znaków polskiego alfabetu

J.W. ELECTRONICS

Łódź, ul. Serenady 5a tel. 48-80-15

USŁUGI

- ANTENY 55-32-42 Łódź
- KRATY tel. 36-90-12 Łódź
- BOAZERIA – montaż tel. 81-59-01 Łódź
- UKŁADANIE parkietu tel. 34-27-83 Łódź
- PRANIE dywanów 51-86-72
- NAJTANIEJ i szybko zrobisz pieczęć – nowy zakład ul. Kopernika 39 Łódź
- ANGIELSKI, niemiecki – elektronika, informatyka, instrukcje, dokumentacje, normy – tel. 87-63-43 Łódź
- ZAKŁAD malarski przyjmie ucznia, współpraca, inne propozycje Stefan Wecka, Aleksandrów Ł. Chopina 14
- GOBELINY na zamówienia artysta plastyk 32-65-08
- USŁUGI plastyczne poleca Jan Piotrowski Zachodnia 101
- WYBITNY znawca wyceni każdy dobry instrument lutniczy 32-42-18
- „PENELOPA” – biuro matrymonialne 43-62-16
- KRATY, drzwi stalowe, Łódź, Lecznica 1/7 m. 32a, tel. 84-84-27
- TAXI na zamówienie, dalsze trasy, 45-04-85
- ZESPÓŁ wokalnoinstrumentalny, wesela, bankiety 48-64-30
- WIDEOFILMOWANIE – ceny konkurencyjne 48-64-30
- PRZYJMIĘ szycie – chałupnictwo, overlock, stebnowka 74-24-35
- WIDEOFILMOWANIE 84-24-02
- USŁUGI stolarskie 86-52-48
- ZESPÓŁ wokalnoinstrumentalny, wesela, bankiety tel. 45-04-85
- MASAŻE lecznicze, nastawianie kręgosłupa, Łódź, ul. Kościuszki 39
- LEKTORATY języka angielskiego i francuskiego dla dzieci 9-14 lat 84-84-27
- ZAJĘCIA rytmiczno-taneczne dla dzieci 84-68-66
- ZESPÓŁ Pieśni i Tańca „Łódź” przyjmie chłopców 16-21 lat, 84-24-02
- ZAKŁADANIE boazerii, układanie glazury, malowanie, tapetowanie, 86-12-31

KUPNO

- ZŁOM metali korzystnie

sprzedasz w punkcie skupu Łódź, Przędzalniana 19

- ZNACZKI pocztowe, monety, 32-78-34
- KUPIĘ Mercedesa nowego 32-16-07

SPRZEDAŻ

- SPRZEDAM Poloneza r 87 cena 30 mln zł. Stan idealny 32-16-07
- SPRZEDAM laminatory i folie USA A3 – 8.750.000 zł, A4 – 7.000.000 zł tel. 32-32-77
- SPRZEDAM „Poloneza” rok 88 cena 25 mln zł Konstancinów ul. Prusa
- SPRZEDAM grób głębinowy w Krakowie cmentarz Rakowice 20 mln zł 51-68-45
- KOPARKO-spychacz „Ostrówek”, cena 42 mln lub zamienię na samochód osobowy. Wysoki 12 gm. Stryków.
- DYWAN wełniany 2x3 m cena 1 mln zł tel. 74-33-67 Łódź
- DZIAŁKĘ budowlaną-rzemieślniczą 6.800 m² uzbrojoną za 200 mln zł, Nowosolna tel. 87-74-91 wieczorem
- FIATA 126 p 1978 r, cena 5,5 mln zł, 51-74-59 lub 36-84-20
- ŁADĘ 1200S 1984 r., stan bardzo dobry, cena 20 mln zł, Belchatów tel. 510-37 do 15.00
- MAGIEL elektryczny niemiecki, dł. walka 70 cm, cena 3 mln zł, Belchatów tel. 510-37 do 15.00
- INSTRUMENT elektroniczny Yamaha PSS80, 600.000 zł 72-90-39
- WYSPRZEDAŻ maszyn szycących, stołów krojozno-produkcyjnych, kas, regałów itp. 84-38-13
- PIWO niemieckie, 0,5 l, pasteryzowane, Watzdorfer, hurt 8000 zł, Łódź, Rzgowska 79
- RAJSTOPY włoskie, hurt 8500 zł, 84-38-13
- SPRZEDAM Fiat 126p, 1988 rok, 84-24-02, 17,5 mln zł
- „DONNA” – atrakcyjna odzież z dodatkami, Łódź, Piotrkowska 290
- SZEROKI asortyment odzieży damskiej, Łódź, Jaracza 80 m.5, 78-72-70
- ARTYKUŁY spożywcze, Łódź, Platowcowa 15, 33-63-59 (8-12)
- SPRZEDAM działkę pracowniczą, 20 mln zł, 51-68-45
- SPRZEDAM piec grzewczy na ropę, 43-49-63

NAUKA

- KURS przygotowawczy do PWSSP i Liceum Plastycznego 84-24-02
- NIEMIECKI, angielski, włoski, szwedzki w Deutsche Schule „Au pair” zapisy do 16 września Szk. Podst. 90, 37-41-67
- ZAPRASZAM na naukę pływania i pływania rekreacyjne – basen SP 149, ul. Tatrzańska 69, tel. 43-93-21 Łódź
- FIZYKA, matematyka, niemiecki 78-58-02
- MATEMATYKA, fizyka tel. 81-29-44

ZAWIADOMIENIA

- FIRMA COBRA z hurtownią Schwan – Stabilo w Łodzi przeniesiona z Sienkiewicza 59 na Piotrkowską 204
- OKAZJA! Tania odzież zachodnia na wagę. Hurt i detal, ul. Wschodnia 27
- RUCH Świadomości Kriszny, Łódź, Lokatorska 13, 84-84-27

LOKALE

- ZAMIENIE trzypokojowe (bloki, telefon) na dwupokojowe + jednopokojowe (bloki, telefon) 87-13-25 wieczorem
- POZNAN M-3 zamienię na Łódź tel. 84-28-58
- WŁASNOŚCIOWE M-3 Dąbrowa zamienię na M-2 Retkinia tel. 88-08-63 Łódź
- POSZUKUJE pokoju dla studentki UE, informacja – Belchatów tel. 26-66-64
- LOKALE do wynajęcia – Łódź Górna, 33-87-50

PODZIĘKOWANIA

- WITKOWI Kacprzakowi z Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego podziękowania za pomoc w ciężkiej chwili składa Tadeusz Widzyk.
- PANI dr Grażynie Krupińskiej z przychodni Retkinia Północ za troskliwość w opiece dzieckiem Witkowskiej
- TOMASZOWI Sieraczewskiemu ze sklepu „Listewka” przy ul. Zachodniej w Łodzi za miłą współpracę dziękuję Marian.

ŻYCZENIA

- KOCHANEJ żonie Ewie Witkowskiej z okazji urodzin życzenia składa Kochający mąż
- URSZULI i Zbigniewowi Łojewskiemu z Jasięca z okazji ślubu życzenia składają Radlakowie
- DR. JANUSZOWI Baranowskiemu sukcesu w wyborach życzą pracownicy Biura Ubezpieczeń Komunikacyjnych w Łodzi
- NATALII i Romualdowi Boguckim z Łodzi ul. Srebrzyńska 49 w półwiecze zaślubin moc serdeczności od siostry i siostrzenicy.
- IZABELI Rosiak z okazji imienin dużo radości życzy ojciec chrzestny
- MARCINOWI PASOWSKIEMU powodzenia w nowym roku szkolnym życzy babcia Zosia
- Z OKAZJI jubileuszu dwudziestolecia pracy wszelkiej pomysłowości życzą p. Zofii Dobrysiak tłumacze z oddziału Łódzkiego STP.
- STEFANII i Stanisławowi Wieczorkom z okazji 35 rocznicy ślubu życzenia – dzieci
- IRENI i Józefowi Mroczkom z okazji srebrnego wesela życzenia składają dzieci
- AGNIESZCE Januskiewicz w czwartą rocznicę urodzin najlepsze życzenia składa chrzestna.
- STANISŁAWOWI Wartakowi z okazji urodzin najlepsze życzenia od córki z rodziną
- Z OKAZJI 23 rocznicy ślubu Grażynie i Markowi Morytkom składa Marta
- ZOSI i Zygmuntovi Jarockim z okazji ślubu serdeczności Fiu-kowie
- ELŻBIECIE Pograckiej z okazji ślubu najserdeczniejsze życzenia składają najlepsze koleżanki
- JURUSIOWI Przewoźnemu z okazji urodzin serdeczne życzenia składają Henia, Jola oraz Piotr
- MARII i Andrzejowi Pelee z okazji ślubu serdeczne życzenia rodzice
- WIESŁAWIE Lipce z okazji urodzin najlepsze życzenia syn z rodziną
- RYSZARDOWI Janiakowi z okazji narodzin córki gratuluje Dżidek
- EUGENI Woźniak z okazji imienin serdeczne życzenia składa Marta

Zasady przyjmowania ogłoszeń drobnych bezpłatnych

1. Ogłoszenie nie powinno przekraczać 10 słów
2. Każde ogłoszenie dotyczące sprzedaży powinno zawierać cenę
3. Ogłoszenia z życzeniami, podziękowaniami, prośbami itp. powinny zawierać imię nazwisko oraz adres bądź miejsce pracy osoby, której składa się życzenia.
4. Ogłoszenia należy nadesłać pod adresem redakcji na zamieszczonym obok kuponie bądź też osobiście złożyć w redakcji, Sienkiewicza 3/5 XI piętro.
5. Redakcja zastrzega sobie prawo nie publikowania ogłoszenia bez podania przyczyny.

Uwaga:

Kupon na bezpłatne ogłoszenie w numerze bieżącym znajduje się na str. 5.

AUTOALARMY BAJERNE:

montaż, sprzedaż detaliczna i hurtowa

Terminy ekspresowe

ŁÓDŹ, UL. RADWAŃSKA 63/65

PO

wina
piwa
napoje

kawę
ocet
oraz słodczyce

Zaprasza

Przedsiębiorstwo „JAFT”

Łódź, ul. Cyprysowa 23

Tel. 34-27-72

RESTAURACJA

VICTORIA

Łódź, ul. Piotrkowska 75 (w Alei Rubinsteina)
tel. 32-99-83

– czynna od godz. 12-tej do północy

Proponujemy dania międzynarodowe oraz potrawy z grilla

W dni pogodne czynny taras

Organizujemy przyjęcia i bankiety

SERDECZNIE ZAPRASZAMY
koneserów dobrej kuchni i smakoszy

SKLEP FIRMY

maxbud

Łódź, ul. Pojezierska 6/8
(pawilon, I piętro)

oferuje:

- boazerie i listwy
- drzwiczki i kowbojki
- farby i lakiery
- okucia i inne art. wykończeniowe

Krzysztof Sychalski
„Przegląd Tygodniowy”
Warszawa

ZG SDP Warszawa
na ręce Sz. P. Red.
Iwony Katarasińskiej

ZG SDRP Warszawa
na ręce Sz. P. Red.
Andrzeja Królikowskiego

List otwarty do środowiska

Kiedy w PRL, jeszcze nie tak dawno temu, fotoreporterzy robili zdjęcia ówczesnym rządcom Polski, to gdzieś od szczebla sekretarza komitetu wojewódzkiego partii obowiązywała niepisana zasada, iż przed publikacją klisze te przedstawiano najpierw fotografowanym. Bywało – a z pewnością było tak w Łodzi, gdzie wtedy pracowałem – że sekretarz wybierał sobie nawet fotoreportera, który na użytek prasy miał prawo go fotografować.

Przypominam to, ponieważ stało się dla mnie jasne, że dziś koło obowiązujących w naszym środowisku zwyczajów i norm wcale których pozwalamy traktować się politykom wykonało obrót o 360 stopni – jesteśmy tam, gdzie byliśmy.

Szóstego września br. zostałem zaproszony przez red. red. Rumowską i Wiśniewskiego – osoby kierujące Łódzkim Ośrodkiem Telewizyjnym – do wzięcia udziału w konferencji prasowej z udziałem prezydenta Łodzi Grzegorza Palki. Nigdy dotąd – mimo że kilka razy w ciągu ostatniego kwartału mnie zapraszano – nie uczestniczyłem w programach Łódzkiej Telewizji. Nie chciałem, gdyż oczywistym było dla mnie, że w kierowanym przez obecnego wiceprezesa Radiokomitetu Marka Markiewicza łódzkim ośrodku TV dzieją się historie budzące do dziś mój najgłębszy sprzeciw. To przecież łódzka telewizja pokazała na ekranie red. Małgorzatę Ziętkiewicz mnącą, a następnie ciskającą na podłogę „Gazetę Wyborczą”, to red. Marek Markiewicz za niezgodny z zasadami gry udział w ubiegłorocznej, jesiennej kampanii wyborczej w sposób formalny skarcony został przez swych przełożonych.

W takiej telewizji występować nie chciałem. Wahalem się również tym razem. Uwierzyłem jednak, iż być może wraz z awansem red. Markiewicza do Warszawy w Łodzi nastąpiła zmiana jakościowa. Sądziłem też, iż konferencja prasowa stanie się szansą do rzeczywistej, polemicznej dyskusji na temat problemów miasta i politycznej rzeczywistości Łodzi.

Niestety. Na pół godziny przed zapowiedzianą audycją red. Waldemar Wiśniewski poinformował mnie, że nie mogę wziąć udziału w programie, gdyż... nie zgadza się na to prezydent! Mój wieloletni kolega red. Wiśniewski przeprosił mnie serdecznie i naprawdę nie miałem do niego żalu. Wyraźnie zresztą mu to powiedziałem. Znam Łódź i wiem pod jaką presją polityczną w ostat-

nim czasie pracowała tutaj telewizja. Choć jeszcze pół godziny wcześniej czułem się gościem red. red. Wiśniewskiego i Rumowskiej, gotów byłem o sprawie nie pamiętać. To, co stało się jednak w trakcie nadanej bez mojego udziału audycji zmusza mnie do napisania tych kilku zdań.

Na początku konferencji, jak mieli okazję oglądać to widzowie, młody dziennikarz Łódzkiej rozgłośni radiowej – przepraszam, ale nazwisko nie zdążyło mi się jeszcze utrwalić – zapytał prezydenta, jak ma rozumieć nieobecność dziennikarza, który miał według wcześniejszych informacji siedzieć obok niego. Prezydent, nie używając mojego nazwiska, odparł, iż nie ma mnie, bo – uwaga! – on, prezydent ma prawo wybierać sobie dziennikarzy na konferencje prasowe. Powiedział też, że... mnie się brzydzi.

Cóż, nie dbam o gastryczny-emocjonalny stosunek prezydenta Łodzi do mojej osoby. Nie o to chodzi. Poziom politycznej i każdej innej ogłady kogoś, kto publicznie używa takich określeń każdy może określić sobie na własny użytek. Ja o panu Palce jako o prezydencie mam zdanie wyrobione i nieraz dawałem temu publicznie wyraz w swych tekstach. Pisałem o nim, kiedy zachęcał łódzką Radę Miejską do złamania ustawy sejmowej – kiedy wbrew ustawie pragnął, by samorząd miasta „przejął” jedną z łódzkich gazet; pisałem, gdy swym autorytetem ręczył za kogoś, kto na to nie zasługiwał. Pan prezydent wiedział, że wszystko o czym piszę znajduje potwierdzenie w dokumentach i relacjach świadków wydarzeń, więc w polemiki merytoryczne się nie wdawał. W tym liście jednak prezydent jest dla mnie postacią z najdalszego planu. Chodzi o coś innego – o godność środowiska do którego należę! Cóż się bowiem stało na oczach widzów po prezydenckiej deklaracji uczuć do mojej osoby?

Po pierwsze – inicjator dyskusji na mój temat, dziennikarz z radia, zapytał łódzkiego prezydenta, czy w tej niezręcznej sytuacji jego pan prezydent zechce zaprosić na następną konferencję. Tak jakby to prezydent zapraszał, a nie telewizja! Słowem, czy zaliczy go do swych wybranych. Grzegorz Palka nie odpowiedział, ale – przy okazji – mogę uspokoić młodszego kolegę: Oczywiście, że będzie pan zaproszony, tym bardziej, że już następne pytanie poprzedził pan przeprosinami, że było „trudne”.

I druga sprawa – red. Wiśniewski, któremu do tej chwili wyłączyłem współczułem, powiedział chwilę po wymianie zdań na mój temat: „A teraz od tych spraw towarzysko-personalnych przejdźmy do dyskusji.” Otóż, jeśli byłaby to tylko kwestia towarzysko-personalna, to zapewniam, że prywatnie to ja pana prezydenta nawet lubię. Szczególnie podoba mi się jego madre, sprawiające nie zapomniane na rozmowcach wrażenie, głębokie spojrzenie. Tyle tylko, że stosunki emocjonalne między mną a panem prezydentem nie mają znaczenia. Chodzi o sposób w jaki dziennikarze zawsze widzą samych siebie. Szacunek, jaki mamy i jaki mieć będziemy jest pochodną tego, jakim darzymy samych siebie! Pragnienie głośniego wypowiedzenia tej myśli jest jedynym i wyłącznym powodem, dla którego zdecydowałem się tym listem zabrać kolegom redaktorom pół godziny.

Warszawa 8. 09. 1991

Krzysztof Sychalski

● Radio MIKS – popularna audycja Łódzkiej Rozgłośni PR – zaprosiło do studia prezydenta m. Łodzi – Grzegorza Palke, między innymi po to, aby zdementował krążące o nim plotki. I tak dowiedzieliśmy się, że Grzegorz Palka nie buduje willi, mieszka z teściami, chce dobudować w domu piętro, ale mu nie starcza pieniędzy, jego teściowa piele ogródek, ale nie zarządza „Juventusem”. Mówi się, że Grzegorz Palka jest w wielu spółkach. Prezydent wyjaśnił, że był w spółce z „Solidarnością” Rolników Indywidualnych, miał tam jeden udział, ale go odsprzedał. W żadnych innych spółkach nie jest. Niektórzy uważają, że miasto sprzedało za bezcen Turkom plac na rogu ulic Piotrkowskiej i Andrzeja Struga. Grzegorz Palka uważa, że miasto dostało dobrą cenę.

● Janusz Skalski w „Kurierze Polskim” podsuwa rolnikom pomysł, co mają zrobić z plodami rolnymi, których nikt nie chce kupić. W Zakroczymiu plantatorzy ogórków wywieźli je do lasu. Sadownik spod Końskich wyrzucił na śmietnik jabłka papierówki. Rolnicy z Radomskiego, od których nie ma kto kupić żyta, wysypują je do rowów. Po co to robić? Przecież w Polsce są ludzie biedni, są domy dziecka i domy starców, gdzie często bywa pusto na talerzach. Im trzeba oddać plody, których nie ma kto kupować. Pośredniczyć może radio, telewizja i prasa, pisze Skalski. Pomysł dobry, tylko mało praktyczny. Te ziemniaki trzeba bowiem przewieźć, ktoś musi wyszukiwać tych, którzy potrzebują. Z historii znamy prostsze rozwiązania. Spalili! Tak jak kawę palono w Brazylii. W rozwoju kapitalizmu w Polsce, mało co, a osiągniemy poziom brazylijski.



● Czego, jak czego, ale dobrych pomysłów nam nie brakuje. W Ministerstwie Zdrowia wymyślono, że każdy pracujący obywatel RP powinien opodatkować się w wysokości 30000 zł na rzecz rozwoju służby zdrowia, a przede wszystkim jej ratowania. Nie jest to pomysł niestety oryginalny, bo już minister budownictwa wymyślił, aby ci, którzy mają mieszkania opodatkowali się na rzecz tych, którzy mieszkań nie mają. Tę radosną twórczość pomysłową można mnożyć. Na przykład ci, którzy mają domowe biblioteki dają po 5 lub 10 książek tym, którzy książek nie mają. Ci którzy mają samochody wożą raz w tygodniu tych, którzy samochodów nie mają. Emeryci i renciści sprzątają mieszkania ludziom pracy i zajmują się dziećmi sąsiadów. I tak dalej i tak dalej, a Polska stanie się krainą miłom i mlekiem płynącą. Nie będzie też uprzykrzonych dziur w budżecie.

● Po ostatniej dyskusji w Sejmie RP, kiedy to rozważano konieczność wprowadzenia ostrych oszczędności w wielu dziedzinach, a w tym i w kulturze, oraz dyskutowano nad wotum nieufności dla premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego nasz niezawodny komentator ZJM pisze:

Sytuacja dość złożona

Bowiem, mówiąc między nami, Rzecz z Premierem wyjaśniona, lecz co będzie z premierami?

● Jak ważne jest posiadanie własnej biblioteki oraz znajomość geografii mógł się przekonać autor biografii nowego prezesa ZUS w telewizyjnych „Wiadomościach”. Miasto ukraińskie Braclaw umieścił on bowiem na Wileńszczyźnie. Niedługo się mawiało w takich razach: – Gdzie Rzym, gdzie Krym? – I rzeczywiście.

● W Starachowicach przebywał u strajkujących robotników minister Michał Boni. Obiecał im możliwość wcześniejszego przechodzenia na emeryturę w wypadku zwolnień z pracy i to nawet wcześniej niż o 10 lat. A co na to szef ministra Michała Boniego – premier Jan Krzysztof Bielecki, który w Sejmie RP skarżył się, że jest w Polsce za dużo emerytów i rencistów, i dlatego w Polsce nadal jest źle? Są różne sposoby rozwiązania ostatecznej tej kwestii. Na przykład rywalizacja, kto wcześniej umrze. Nagrody należałoby ufundować dla rodziny pozostającej w radości, że się pozbyła pasożyta.

● W Łodzi – i nie tylko – jest nowa afera. Prokurator Eugeniusz Sindewski obiecywał niedawno w radiu, że maluczką a ujawni szczegóły, ale uprzedziła go redaktorka Małgorzata Ziętkiewicz (dawniej telewizja Łódź, teraz Warszawa), która o tej aferze zrobiła audycję. Małgorzata Ziętkiewicz zdobyła popularność, „mołojęcką sławę” oraz obietnicę spędzenia roku w więzieniu, jeśli sąd uzna rację prokuratora Eugeniusza Sindewskiego. Od Małgorzaty Ziętkiewicz oddał się natomiast Józef Nowiadomski, którego „Gazeta Łódzka” posądziła, że jest wujem bohaterki dziennikarki. Przysięga się co najwyżej do tego, że „być może” pomógł jej w zdobyciu pracy.

● Janusz Korwin Mikke – szef Unii Polityki Realnej – który na posta kandyduje w Poznaniu, zwrócił się do wyborców z apelem, aby nie wybierali do parlamentu tych, którzy obecną kadencję już zaliczyli. Na wielu senatorów i posłów padł błąd strach. I to nie tylko w Poznaniu. Bo jak wyborcy usłuchają? Inni natomiast martwią się, aby wyborcy chcieli w ogóle dokonać aktu wyborczego. Każdy ma takie zmartwienie, na jakie zasługuje.

● Waldemar Trajdos ma pecha. Najpierw nie zebrał wymaganej liczby podpisów, gdy kandydował na prezydenta RP, teraz nie zebrał wymaganej liczby podpisów, gdy zamierzał kandydować na posta do Sejmu PR. Waldemar Trajdos reprezentuje odłam ruchu narodowego. Warto byłoby wyciągnąć z tego jakieś wnioski.

B.M.

CZYTELNICZY PISZĄ

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

Nosił wilk razy kilka

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z zamieszczonym w „Odgłosach” nr 14 z dn. 25 VIII 1991 r. tekstem pt. „Nosił wilk razy kilka” uprzejmie proszę o opublikowanie przedruku z „Dziennika Łódzkiego” – w załączeniu, oraz krótkiego komentarza, który zamieszczam.

Rozumiem, że środowisko polityczne łódzkiej udeję, do której należy p. Krzysztof Spychalski autor kłamliwego ataku na mnie postanowiło tą metodą prowadzić kampanię wyborczą. Jestem zdecydowanym przeciwnikiem takiej kampanii i raz kolejny proponuję walkę na argumenty i programy, a nie insynuacje. Rozumiem także, że podział pieniędzy, którego dokonaliśmy dwa lata temu – wspólnie z Jerzym Drygalskim i senatorem Jerzym Dietlem – pieniądze, które środowisko ówczesnego WKO tworzące dziś łódzką udeję, po dwóch latach wydał się p. Drygalskiemu niesprawdliwy i jakby domaga się nowego podziału. To także jest jakiś pomysł. Ale jedno nie ulega wątpliwości – pieniądze te dzieliłem wspólnie z senatorem Jerzym Dietlem – tak wynika z przedłożonego dokumentu i nie rozumiem co oznacza termin „podpis robooczy”. Robocze podpisy składają dzieci uczące się kaligrafii. Dlatego, jeśli ludzie odpowiedzialni za całą tę kampanię insynuacji pod moim adresem mają poczucie humoru, powinni powiedzieć jedno słowo – przepraszamy – tego oczekuję na progu wyborczej kampanii.

Dla Pana Redaktora przesyłam wyrazy szacunku i pozdrowienia!

Stefan Niesiołowski

Od redakcji:

Publikując list p. posła Stefana Konstantego Myszkiewicza-Niesiołowskiego (bez jakiegokolwiek poprawek) spełniamy jego prośbę o przedruk tekstu pomieszczonego w „Dzienniku Łódzkim” nr 200 z 28 VIII 1991 r. pt. „Jeszcze raz w tej samej sprawie”.

W związku z następującym stwierdzeniem senatora Jerzego Dietla: „Nie brałem żadnego udziału w podziale pieniędzy, nie podpisywałem jakiegokolwiek protokołów lub dokumentów. Decyzję podjął poseł Stefan Niesiołowski” (DL nr 183), proszę o zamieszczenie dołączonego tekstu:

Przekazujemy 35000 franków francuskich (trzydzieści pięć tysięcy franków francuskich) panu Markowi Nowakowskiemu na realizację umowy między firmą Tricoop z Belgii, a Wojewódzkim Komitetem Obywatelskim „Solidarność” w Łodzi. Szczegóły umowy będą uzgodnione i podpisane z fundacją współpracy polsko-francuskiej (A. Michalski, G. Janowski, S. Niesiołowski)

Przekazujemy 35000 franków francuskich (trzydzieści pięć tysięcy franków francuskich) panu Andrzejowi Woźnickiemu w formie dotacji na Wydawnictwo Regionalne. Szczegóły umowy zostały uzgodnione z tą samą, wyżej wymienioną fundacją.

Jerzy Dietl, Stefan Niesiołowski

(Kserokopia dokumentu jest w posiadaniu redakcji – przypisek red.)

Jeszcze raz oświadczam, zasadę podziału ustaliłem przy udziale Jerzego Drygalskiego, który był obecny przy podpisywaniu przeze mnie i przez senatora Jerzego Dietla tego tekstu. Wówczas zarówno on, jak i p. Marek Nowakowski z ŁTIS oświadczyli, że taki podział ich w pełni satysfakcjonuje i sprawę zamyka. Dlaczego więc teraz do sprawy wracają i do czego dążą? Stwierdza zresztą sam Jerzy Drygalski: „Jest faktem, że pan Stefan Niesiołowski targował się o podział pieniędzy i rzeczywiście dokonaliśmy wstępnych ustaleń co do ich podziału”. Przecież p. Nowakowski przyjął 35000 franków na co wystawił pokwitowanie, którym dysponuję – jakie to więc „wstępne ustalenie”? Podział został dokonany, gdyby było inaczej nie należało przyjmować tych pieniędzy tylko „targować się” dalej. I jeszcze jedno. We Francji nigdy nie twierdziłem, że posiadam upoważnienie ŁTIS. Nie chcę zarzucać kłamstwa ani Iwonie Śledzińskiej, ani nikomu – może nie pamiętają naszych ówczesnych rozmów. Ale jaki miałbym cel podszywać się pod ŁTIS? Proponowałem przecież podpisanie umowy w imieniu KIK, ale właśnie I. Śledzińska i Krzysztof Turowski nie chcieli się zgodzić i zaproponowali ŁTIS, na co ja się zgodziłem w imię zgody i wspólnego dobra, od razu zastrzegając, że przecież nie jestem członkiem ŁTIS, a oni odpowiedzieli, że to nic nie szkodzi. Przypomnij sobie Iwonko!

Stefan Niesiołowski

Uwaga redaktora numeru: ponieważ w tekście listu posła Stefana Niesiołowskiego padło nazwisko znanego dziennikarza łódzkiego Krzysztofa Spychalskiego, czujemy się w obowiązku opublikować jego wypowiedź na ten temat pomieszczoną w nr 35 „Przeglądu Tygodniowego” z 1.IX.1991. Pozwoli to czytelnikowi „Odgłosów” lepiej zrozumieć istotę sporu, który nieoczekiwanie przeniósł się z różnych czasopism także na nasze łamy. A oto pełna wypowiedź K. Spychalskiego zatytułowana „Francuski łącznik”:

Bruno Jasiński – głośny w dwudziestolecie międzywojennym pisarz żydowski pochodzenia – od chwili ujawnienia swych lewicowych poglądów stał się stałym celem ataków prasy endeckiej. Po ukazaniu się w „Kurierze Lwowskim” kolejnej jadowitej recenzji, literat – także satyryk, wystosował do krytyka następujący list: „Wielce Szanowny Panie Kolego! Siedzę właśnie w pewnym ustronnym miejscu i mam przed sobą pańską recenzję. Za chwilę będę ją miał za sobą”.

Nie mam tak wysublimowanego poczucia humoru, ani nie jestem tak zdeterminowany politycznie. Odpowiem więc panu posłowi, hrabiemu Stefanowi K. Niesiołowskiemu-Myszkiewiczowi, merytorycznie. Zadanie to ułatwił mi łódzcy polityk, który po ukazaniu się w „PT” (nr 29) reportażu „Francuski łącznik” ustosunkowali się do sprawy na łamach „Dziennika Łódzkiego” z 7.08. br. Większości moich rozmówców i mnie samemu zarzucano pan poseł kłamstwa. A zatem po kolei:

Pisze pan Niesiołowski, że umowę we Francji w imieniu Łódzkiego Towarzystwa Inicjatyw Społecznych podpisał za zgodą ówczesnego prezesa tej organizacji Jerzego Drygalskiego. W „DL” pan Drygalski stwierdził natomiast: „Ani ŁTIS, ani ja osobiście nie upoważniałem posła Niesiołowskiego do podpisywania umowy w imieniu Towarzystwa (...)”

Napisał dalej w liście pan poseł, że kiedy stało się jasne, że wziął pieniądze, to o ich podziale zdecydował wspólnie z pp. Dietlem i Drygalskim: Dlaczego – pyta Stefan Niesiołowski – p. Spychalski zajmuje się wyłącznie moją osobą? Po pierwsze, podział resztek, ściślej przekazanie 30 tys. franków Markowi Nowakowskiemu z Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego, nastąpił dopiero wówczas, gdy poseł stanął wobec presji aż dwu senatorów, a co za tym idzie, wobec gróźb politycznej kompromitacji. W „DL” Jerzy Drygalski napisał na ten temat: Pan poseł podpisuje bezpodstawnie umowę w imieniu ŁTIS, pobiera pieniądze, a następnie wymusza ich podział i dokonując tego uważa, że sprawa jest zatajona (...)

Po drugie, powód, dla którego „nie zająłem się” – jak chciałby Stefan Niesiołowski – senatorem Jerzym Dietlem jest oczywisty. Na łamach „Dziennika Łódzkiego” senator wyjaśnił to sam: Nie brałem żadnego udziału w podziale pieniędzy, nie podpisywałem jakiegokolwiek protokołów lub dokumentów. Decyzję podjął Stefan Niesiołowski.

Właśnie, a mimo to w liście do „PT” Stefan Niesiołowski o mało nie nazywa mnie dziennikarskim i politycznym gangsterem. Pisząc bowiem pod koniec 1990 roku („PT” z grudnia ub.r.) o tym, w jaki sposób Łódź straciła szansę na zaangażowanie w mieście kapitału amerykańskiej firmy „Levi-Strauss”, opowiadając czytelnikom o cesarskim niemal podejściu do sprawy pana posła, nie napisałem później, że Stefan Niesiołowski miał swój udział w zaineresowaniu Łodzi Niemców z firmy „Süd-Wolle”. Nie napisałem, bo w „PT” wyznajemy zasadę, iż pierwszym obowiązkiem dziennikarza jest wskazywanie na patologię życia społecznego. Reklamy są u nas płatne!

W swym liście pan Niesiołowski napisał, że po to zakładał ZChN, by (...) w Polsce postkorowcy nie decydowali o wszystkim i żeby żaden Edelman, czy Kuroń nie wpisywali wieciej nikogo na żadne listy. Ciekawe, że w czasach, gdy powstawała „drużyna Lecha” Stefanem Niesiołowskim nie targali wstrząs obrzydzenia, gdy bohater powstania w getcie warszawskim Marek Edelman wpisywał go na listę kandydatów do zdjęcia z Lechem Wałęsą. ZChN zaś powstał później dopiero, już po tym jak panu posłowi nie udało się – przeprowadzona jesienią 1989 roku – próba puczu w Wojewódzkim Komitecie Obywatelskim, którym kierował i kieruje Marek Edelman.

I kwestia generalna – czy sympatyzuję z Unią Demokratyczną? – Tak! Między innymi dlatego, że wiem, iż żaden z jej członków o kimkolwiek z członków dawnej opozycji nie napisałby per: „Żaden Edelman, czy Kuroń”.

Krzysztof Spychalski

„Spowiedź w rytmie bluesa”

Artykuł pana Arczewskiego „Spowiedź w rytmie bluesa” zamieszczony w nr 14 „Odgłosów” jest doprawdy oburzający. Czemu mają służyć obraźliwe uwagi pod adresem duchowieństwa i osób uczestniczących w pielgrzymce, podkreślanie ich „naiwności”, a może głupoty? Autor artykułu z pewnością jest obdarzony dużym poczuciem humoru, skoro potrafił w tak sprytny sposób ośmieszyć pielgrzymkę, coś, w czym na pewno nigdy nie uczestniczył i czego istoty – wbrew deklaracjom – nie rozumie. Ale jak powiada Pascal „krotkochwilny człek – lichy charakter”.

Uważam, że ludzie, którzy nie zważając na zniechęcenie, nie sprzyjającą pogodę idą kilkudziesiąt czy nawet kilkaset km (pielgrzymki z Wybrzeża) w imię jakiejś idei, zasługują na szacunek – choćby ze względu na okazaną wytrwałość. Połączenie ich trudu z machinacjami rozmaitych spekulantów wydaje się ze wszech miar niewłaściwe. Nikt z idących nie miał wpływu na ceny bananów i chleba w Lubojenecce ani na drożyznę w częstochowskich sklepach, chyba że pan Arczewski jest innego zdania. Kogo usiłuje oskarżać? Dziwię się także, że autor z taką zaciętością atakuje przedsiębiorstwo INVEST-BANK, które przecież przyczyniło się do „doinformowania”. Czy autorowi nie udało się wygrać tego volkswagena i teraz daje wyraz swemu rozżaleniu?

O ile mi wiadomo wszelkie inicjatywy gospodarczo-handlowe są w naszym kraju mile widziane i oburzenie, że ktoś zarobi 500 mln. zł może wynikać tylko z zazdrości.

Chciałbym jeszcze dodać, że nikt nie zmuszał pielgrzymów do kupowania słynnych kapeluszy słomkowych i podkoszulków – nie ma powodu, by tak głośno protestował przeciw ich cenom.

Szkoda, że pan Arczewski w swoim artykule zapomniawszy napisać o tym, co dla wszystkich uczestników pielgrzymki było najważniejsze – o atmosferze panującej na szlaku, o całym pięknie wysiłku, który jak ufam, nie poszedł na marne. Kto wyśmiewa ludzkie idee i dążenia albo ich nie rozumie, albo posiada „lichy charakter” i pragnie wszystko sprowadzić do swego poziomu umysłowego i moralnego.

Małgorzata Olszewska
Łódź

„Odgłosy” rozpaczliwie pragną uniknąć sąsiedzenia, że stały się ekspozyturą najbardziej wstecznej myśli dewocyjno-klerikalnej; stąd pewne nieśmiały akcenty krytyczne pod adresem nowej, tryumfującej Siły Przewodnej. Dlatego egzystują obok siebie w niezmałowanej niczym symbiozie red. Wolborski i ks. Kubalt, który wali cepem na oślepa, a redakcja uważa, że to delikatne kropidło.

Tymczasem dla uważnego czytelnika od dawna jest jasne, że sympatie „Odgłosów” ulokowane są po stronie Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. Dowodzą tego dwa ogromniaste wywiady z prominentnym przedstawicielem tej partii Jerzym Kropiwnickim. Wcześniej udzielono głosu panu prezydentowi Palce, który dzięki temu mógł gładko wytłumaczyć się ze skandalu związanego z przyjęciem Hyundai. Pani B. Madej, kiedy indziej odważna, tym razem dziwnie nabrała wody w usta i bez sprzeciwu przyjęła dziecinne wyjaśnienia wódrarza miasta. Powód? Pan Palka jest także prominentnym przedstawicielem ZChN. Nie wspomnę już, że również Andrzej Słowik, związany z obu wspomnianymi panami więcej niż osobistą przyjaźnią, zawsze znajduje dostęp do łamów „Odgłosów”.

Świeżym przykładem sympatii „Odgłosów” jest „reportaż” pana Arczewskiego ze złotu młodzieży katolickiej w Częstochowie. Wysłannik „Odgłosów” udał się na to święto z kosturem jako pielgrzym, szkoda że nie w worku pokutnym, bo napisał swoje wypracowanie na kłęczkach. Z ciemnych stron owej pielgrzymki pan Arczewski dostrzegł jedynie „zerujących” przedstawicieli domokrajnego biznesu, którzy zgodnie z prawami rynku sprzedawali swoje produkty po cenach odpowiadających popytowi. Pan Arczewski oburza się na rodzimych „kapitalistów” nie dostrzegając tego, co naprawdę było skandalem. Polskie rolnictwo dławi się od nadmiaru produkcji, tymczasem lobby kościelne potrafiło odemknąć granice państwa dla zagranicznych konserw. Nie wiem, ile artykułów żywnościowych przy okazji pielgrzymki papieskiej trafi na rodzimy rynek wypierając produkty polskie. O skandalu związanym z utraceniem helikoptera „Sokół” już nie wspomnę, bo nie należy go łączyć bezpośrednio z Częstochową.

Czy dowiemy się kiedykolwiek, ile budżet państwa wyłożył na dwie bardzo kosztowne wizyty papieskie?

Jeśli „Odgłosy” mają choć odrobinę odwagi cywilnej, to wydrukują mój list bez skreśleń. Będzie to dla mnie papierkiem lakmusowym intencji redakcji.

Piotr Laskowski
Łódź

Jedno danie Anny-Marii

A jednak będzie – oznajmił tak zwanym gróbowym głosem syn, wracając z podwórza do domu.

– Co będzie? – spytałam.
– No, ta, Cholerna buda. Nie skróć nam roku szkolnego o miesiąc wrzesień. Niestety, na budzie wiśi kartka. Rozpoczęcie jak zwykle.

Więc słusznie kurator oświaty i wychowania Łodzi, Wojciech Walczak, jest zwolennikiem nietajenia przed działwą szkolną prawdy o sytuacji w kraju i w oświacie też, czemu dał wyraz w wywiadzie udzielonym Łódzkiej Gazecie Wyborczej 31 sierpnia. Nie da się bowiem już niczego ukryć. Nawet (tajnych?) rozważań w resortach, czy skrócić nowy rok szkolny czy zaryzykować jego rozpoczęcie.

Przecież, jakie nastąpiły z kół najlepiej poinformowanych, dotarły również na balucie podwórko Starego Rynku. Bardzo się dzieciaki cieszyły, że z tym szkolnictwem jest aż tak źle. Perspektywa laby w postaci trzeciego miesiąca wakacji napędziła je beznierownym optymizmem i chęcią bohaterkiego przetrwania pozostałych miesięcy szkolnych. Na nieformalnym zebraniu u mego syna grono siódmoklasistów doszło do wniosku, że nowy rok zapowiada się jeszcze fajniej niż ten, który właśnie odfajkowano. Obliczono, że w tamtym minionym – jeśli zsumuje się wszystkie dni wolne, święta państwowe i kościelne, rekolacyjne przerwy, ferie, lekcje skrócone z powodu rad pedagogicznych, itp., itede – to wypadło tygodniowo po dwa i pół statystycznego dnia nauki. A tu proszę – nowy rok zapowiada się zupełnie ulgowo, od razu od kolejnych wakacji. Uczeń w RP ma klawe życie!

Aż nagle taki zawód. Nic dziwnego, że na twarz mego nastolatka bynajmniej nie maluje się tęsknota za budą.

Pomyślałam, że konieczne trzeba wygłosić małe, pedagogicznie słuszne przemówienie, z którego morał w rodzaju: „ucz się, synu, ucz, bo nauka to do potęgi klucz” wynikałby jednoznacznie, ale ugryzłam się w język. To nie to

pokolenie, które dałoby się nabierać na podobne wzniósłości. Nie darmo korzysta ono na co dzień z podręcznych kalkulatorów i zna się na bieżącym kursie dolara. Ostatnim razem, gdy synowi nakladowałam o wyższości człowieka srodze uczonego nad nieukiem, syn zgasił mnie prostym argumentem, że tata jego kolegi – chociaż mówi „jezdem” zamiast „jestem”, a edukację swoje zakończył był na niepełnej podstawowej – od czasu, kiedy zaczął „robić w handlu” jako turysta (przywozi kurtki skórzane z Chin), kupił swemu synowi nie tylko wieżę Sony, ale i komputer, a sam sobie kupił toyotę. A ty co? Na rower za głupie milion dwieście nie

niałam sobie w porę, że syn jest nastolatkiem, niestety, ponad miarę czytającym i dawno już wyszedł poza lekturę wierszyka o Murzynku Bambo, co to w Afryce mieszka i uczy się ze swojej pierwszej, murzyńskiej czytanki. Ostatnio wiele czasu poświęcał na kilkakrotne przeczytanie „Cesarza” Kapuścińskiego, tak go ta książka wciąga. Mógłby więc oświadczenie pana kuratora potraktować zbyt dosłownie, zapytać nie tylko o Etiopię, lecz także i o Afrykę Bokassy, i jak tam wygląda w XX wieku zasada powszechności oświaty? A nie daj Boże, posunąłby się dalej w swoich dociekaniach wścibskiego nastolat-

Hm, w takim razie – jeżeli zabierze się nauczycielowi te godziny przy jego już i tak złej „kondycji finansowej”, to „owocowanie agresją”, którego obawia się pan kurator, może się nasilić. I co wówczas? Ale w dalszej części wywiadu zostaje uspokojona kolejnym oświadczeniem, z którego wynika, że to wszystko dla dobra mego syna i reszty działawy szkolnej, ponieważ: „Każda godzina przepracowana ponad podstawowe osiemnaście jest mniej efektywna. Dlatego nauczyciel staje się gorszy”.

Aha, skoro staje się przez nadliczbowki gorszy, to musimy mu je zabrać. Powinien być lep-

Wysoki stopień zasolenia

potrafisz zarobić? zlinczował mnie na koniec syn.

Więc z tą nauką, że do potęgi kluczem, ani nic w tym stylu – nie przejdzie. Uczyniłam kolejny wysiłek intelektualny, lecz w głowie zadźwięczał mi jeno cytat z Żeromskiego, również o nauce, że ona jest jak beznierowne morze, i im więcej jej pijesz, tym bardziej jesteś spragniony.

Alści tu od razu przypomniała mi się moja starsza córka, przez którą musiałam iść na dywanik do pani polonistki i bardzo się kajać za zdanie, jakie córka napisała w wypracowaniu klasowym, którego tematem wiodącym była właśnie owa metafora. Zamiast ją rozwinąć i uwypuklić, córka napisała tak: „Może to i prawda, że nauka jest niczym beznierowne morze, lecz w takim razie będzie ona całkowicie niepitna, ponieważ wodę morską cechuje wysoki stopień zasolenia.”

Ugryzłam się w język po raz drugi i postanowiłam po prostu zacytować początek wypowiedzi pana kuratora o tym, że: „Prawo obywateli do kształcenia jest konstytucyjnie zagwarantowane i nie sposób wyobrazić sobie w XX wieku państwa, w którym naruszona została zasada powszechności oświaty”. Tu jednak przypom-

ka i zapytał, czy zarządzenie Ministerstwa Edukacji Narodowej z dnia 24 sierpnia nie jest przypadkiem wskazującym na naruszenie tej dumnej zasady powszechności? Na balucie podwórko Starego Rynku przedostała się kolejna (tajna?) wieść, iż podobno chemia zostanie okrojona, a fizja, i biolga (biologia), a kto wie, czy matmy i polaka też nie skrócą?

Ugryzłam się w język po raz trzeci i ostatecznie zamilkłam. Milczenie jest złotem, mowa srebrem; bardzo słusznie to ktoś już przede mną zauważył.

„Mam nadzieję, oświadczył pan kurator, że kiepska kondycja nauczyciela, związana z trudnościami finansowymi, nie będzie owocowała zwiększoną agresją w stosunku do dzieci”.

„Owocowanie agresją” nabiera szczególnej wymowy zaraz w następnym akapicie wywiadu. Na pytanie dziennikarza: „Jakie są pana propozycje, aby program oszczędnościowy ministerstwa realizować w Łodzi możliwie najmniej boleśnie?”, pan kurator odpowiada, że „Po pierwsze, doraźne oszczędności w funduszu plac. Praktycznie zostaną zlikwidowane godziny ponadwymiarowe”.

sz, a nie gorszy; logiczne, więc troska jest słuszną. Chociaż z drugiej strony owo oświadczenie poprzedzone zostało dokładnie taką enunciacją pana kuratora: „Pensje nauczycielskie wyraźnie wzrosły w ostatnich dwóch latach, ale wciąż są na tyle małe, że zmuszają do podejmowania dodatkowego zatrudnienia”. Zaraz, zaraz... to jak jest ostatecznie z tymi nadliczbowkami? Bo jeśli pensje wciąż są na tyle małe, że aż zmuszają do podejmowania dodatkowego zatrudnienia, to gdzie się ma nauczyciel zatrudnić dodatkowo i w jaki sposób?

Boże mój, a co mnie w końcu obchodzi taki gorszy z powodu każdej godziny ponadwymiarowej nauczyciel? Chociaż jednak obchodzić powinien – bo jeśli jej nie otrzyma i zawocuje zwiększoną agresją w stosunku do mego syna?

Bardzo skomplikowane. Aż mnie głowa rozboleła. I chociaż jestem również przeciwniczką utrzymywania młodzieży w niewiedzy to ja tę gazetę z wywiadem schowam głęboko. Przed synem. Są jednak sprawy, o których w jego wieku wiedzieć się nie powinno.

Anna-Maria

E. L. Skalnik. Z tygodnia na tydzień (17)

Lecz Anita nie miała najmniejszych wątpliwości, dokąd „pokuśtykał” jej mąż.

Skorzystał z okazji, że babka wzięła dzieciaki na spacer, a matka też poszła się gdzieś szwendać po sklepach, no i że mnie nie było w domu – pomyślała Anita – I przysnął. Do tej swojej dziwki. Dawno się z nią nie widział. Wypadek, szpital, teraz rekonwalescencja w domu. Tyle czasu, a on ciągle z zawiązanym na supeł, biedaczek.

Przysiadła na tapczanie, wśród rozrzuconych przez Marka koszul. Pokój bez niego i bez dzieci wydal się Anicie obcy. Tylko ten

brał odpowiedni moment. Byli w łóżku. Dopiero się całowali, pieścili, gdy on nagle znieruchomiał, przerwał pieszczoły, odezwał się: „Anita, uważam, że powinnaś nacisnąć ojca. Albo matkę. Ja w każdym razie nie dam się zbyć byle czym.” Przyciągnęła jego twarz do swoich piersi. Chciała, żeby je całował tak, jak przed chwilą. Wtedy jeszcze miała ładne piersi, nie zniszczone ciążami, karmieniem dwojga dzieci. Kochany, o czym ty teraz? potem, potem... Odepchnął ją gwałtownie. Nie, oznajmił, nic z tych rzeczy. Nie mam ochoty. Przeszła mi. Musimy się rozmówić. Ale ona była na-

forsie mówisz? A gospodarstwo? Zdajesz sobie sprawę, idiotko, ile forsę ciągnie twój ojciec z gospodarstwa pod Łaskiem? Zagubiła się całkowicie. Gospodarstwo? Przecież on nie ojca. „Ale on ma do niego prawo”, Marek, co ty wygadujesz, jakie prawo? Rodzice ojca żyją, wujek Władek też.” „Wujek Władek wujek Władek!” Zaczął znów nawet seplenić. Zdażyłem się zorientować, że nie szplacił twego ojca. Niech szplaci. Należy się. A za taką szplacę niech ojciec kupi nam mieszkanie. Chociaż dwupokojowe”.

Tak wyglądała jedna z pierwszych nocy poślubnych. Powinna była już wtedy zrozumieć, że Marek ożenił się nie tyle z szalonej miłości, ile z fałszywego przekonania o finansowych możliwościach jej ojca. Spodziewał się mieszkania w blokach, a nie pokoju w starym budownictwie.

łość, szacunek oraz uznanie tracą w zestawieniu z dopelnieniem „mojej drogiej”: „moja droga – jakaś ty niechlujna”. Albo: „moja droga – czy ty naprawdę musisz być taka tłusta? Nie mogłabyś się choć trochę odchudzić?”

Ciekawe – pomyślała Anita – jak odzywałby się do mnie, gdybym rzeczywiście dostała od ojca mieszkanie? Biedny Mareczek, a tak długo na nie liczył.

Pozbierała koszule z tapczanu. Pomiędzy siebie. Trzeba odprasować. Bo mój mąż, gdy wróci od swojej dziwki powie, że żona nie wypełnia należycie swoich obowiązków...

– Anita? – usłyszała wołanie matki z głębi mieszkania. Odrzuciła te nieszczęsne koszule z powrotem na tapczan. Poszła dowiedzieć się, czego matka chce.

Jadwiga pakowała słoiki z kompotem i banany do siatki.

– Znowu do ojca? Mamo? Już dziś u niego raz byłaś przed południem.

– Ale nie zaniostam kompotu. A tak wciąż gorąco – odpowiedziała Jadwiga.

– To nie ma sensu. Tak biegać do szpitala po kilka razy dziennie. Będzie wszystko dobrze, zobaczysz. Profesor Malaga, o którym mówił Andrzej, na pewno ojca wyleczy.

– Tak, na pewno. O ile... – zaczęła Jadwiga i nie dokończyła. Szybko zmieniła temat – Słuchaj, Anita. Wiesz, jak to jest z tymi tramwajami... mogą nie zdążyć na kolację. Dopilnuj, żeby dziadek zjadł kaszkę. Już ugotowałam, w tamtym garnuszku granatowym. Dziś w nocy dziadek ciągle ganiał do ubikacji. W jego wieku nie można się tak objadać gruszkami... – Jadwiga spróbowała się usmiechnąć, lecz uśmiech jej wypadł mizernie – Anita?

– Słucham, mamo?

– A ty się Markiem tak nie przejmuj. Znowu płakałaś.

– Och, mamo...

– Wiem, że ci ciężko – powiedziała Jadwiga, dotknęła policzka córki – Ale jesteś jeszcze taka młoda. Życie też możesz sobie ułożyć.

– Z dwójką dzieci? A kto mnie będzie chciał?

– Uważasz, Anita, że problem polega na tym, aby ciebie ktoś chciał? A mnie się wydaje odwrotnie. To ty powinnaś kogoś chcieć, a nie oczekiwać z pokorą na jakiegoś wybrańca, który zechce na ciebie taskawie kiwnąć palcem. – powiedziała Jadwiga. Pocałowała Anitę. – Nie zapomnij o kaszce, dobrze?

Anita wróciła do pokoju. Wyciągnęła żelazko. Rozłożyła deskę do prasowania. Sięgnęła po koszule.

Młoda – pomyślała. – Niby prawda: ciągle jeszcze młoda. Dwadzieścia osiem lat.

Przejechała żelazkiem po mankiecie.

– Do diabła! – powiedziała – a niby dlaczego? On do swojej dziwki, a ja za prasowanie jego koszuli, które sam pognoił? Takie życie jest zwykłym nonsensem.

Rzuciła koszule w kącie.

– Niech sam sobie prasuje! – krzyknęła. A potem już z pełnym spokojem, który ją samą wprowadził w zdumienie, powiedziała: – Tak, takie życie jest nonsensem. Do niczego nie prowadzi. Niczemu nie służy. Nie widzę powodu, aby je nadal ciągnąć. Ja się z Markiem rozwiode.

Cdn.

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

bażel, jaki po sobie zostawił mąż, był całkiem swojski. Nad wyraz swojski. Marek nie miał w zwyczajowi sprzątać po sobie czegośkolwiek. Po całym pokoju rozwał się części garderoby. Brudne skarpetki cisnął w miejscu, w którym był je uprzejmy akuraf zdejmować. Ile razy zdarzało się, że Damian, kiedy jeszcze był mały, a teraz Buba, bawili się taką tatusiową, pysznie przepconą skarpeteczką. Więc dbaj o porządek, moja droga!, wyniosło odpowiadał Marek na czynione mu zarzuty – czy to moja wina, że ten pokój, zwany szumnie naszym domem, przypomina chlew?

Zawsze tak potrafił odwrócić kota ogonem. Zawsze i wyłącznie ze wszystkim moja wina – pomyślała Anita.

Teraz skarpetki leżały koło stolika z telewizorem, a tuż przy nich – gatki.

Nawet gatki zmienił na czyste dla tej swojej dziwki – pomyślała Anita – może się i nawet wymyśli dla niej pod pachami. No, no, jaki z mego męża czyścioszek. W stosunku do mnie nie jest aż tak łaskawy. Uważa, że kąpiel raz na tydzień całkowicie wystarczy. Chociaż zwraca się do mnie wyłącznie per „moja droga”.

Popatrzyła na obrączkę. Złote kółeczko. Kiedy przed osmioma laty Marek zakładał do kółeczko na jej palec, sądziła, że droga życia jest prosto wytoczona. Odtąd ze swoim mężem ramię w ramię. Wspólne radości. Wspólne troski. Zmartwienia. Kłopoty. Nadzieje. Marzenia. No i to... jakże mu tam? aha: tak zwane szczęście, też wspólne. Jakżeby bez szczęścia? Ono przede wszystkim. Niepodważalnie wspólne, trwałe.

– Ty głupia klempo – powiedziała do siebie. – Miałaś go tyle, tego swego szczęścia, że się omal nim nie udtawiałaś.

– Beznadziejnie głupia klempa – powtórzyła. Szczęście trwało krótko. Nawet nie ostało się przez jeden miesiąc. Już w pierwszym tygodniu po ślubie Marek urządził awanturę. Wy-

palona, nie rozumiała dziwnego zachowania Marka, śmiejąc się sprawdziła, czy jemu na prawdę ta ochota przeszła. Rozebrała się głośno: Kłamiesz, przecież ci stoi. Odsunął się na sam brzeg tapczanu. Aleś ty wulgarna, powiedziała. I dorzucił: Należało się tego spodziewać. Z takiej rodziny”.

Dlaczego akurat tak dokładnie zapamiętała właśnie tamtą scenę? Czy stąd, że wówczas po raz pierwszy tak bardzo ją upokorzył? Pamięta swój strach: Boże, co on mówi, co on mówi? Mareczek, Marek kochany... Odepchnął ponownie. Idiotko, powiedział, nie mam ochoty reszty życia spędzać tu z wami wszystkimi na kupie. W tych trzech pokojach z kuchnią w starym budownictwie. Mareczek, kochany, przecież tylko łazienka i kuchnia wspólne, pokój mamy własny, najładniejszy ze wszystkich pokoi. Słoneczny i z balkonem. Tak się wściekił, że aż pobladł i zaczął seplenić: A co mi po tym pokoju szlonecznym? Byłem przekonany, że dostaniesz od rodziców mieszkanie w blokach. Rozplakała się. Nie rozumiała nic z tego, ani co mówi, bo jakie mieszkanie? skąd mieszkanie? ani czemu się tak bardzo gniewa? I to seplenie, którego wcześniej nie słyszała, bardzo ją przeraziło. To jakaś chorba nerwowa, czy co? I dotąd mówił wyłącznie „kochanie”, a tu nagle: Idiotko. Przecież rodzice tyle wysiłku włożyli, by im ten pokój wyszykować? Ojciec odmalował go na piękny, złoty kolor, wycyklinował parkiet, zaciągnął lakierem. Dywan dostali w prezencie ślubnym. Z prawdziwej wełny; drogi, duży dywan. I książeczkę z wkładem pięćdziesięciu tysięcy. Było tak cudownie, tak pięknie ze sobą im było, rozmawiali, co kupią za te pięćdziesiąt tysięcy, jakie meble. Plany, małżenstwa. Regaly oglądali w „Domusie”. Na początek małżenstwa i tak mają dużo. Własny pokój. Dywan. Pieniądze na PKO. Idiotka. Rzeczywiście, ale mi się wysilił. Z ich forsą”. „Mareczek, kochany, o jakiej

Chociaż dwupokojowego – powtórzyła Anita. Potem, oczywiście, zwęksłował. Postawił na uczucie. Mówił znowu o tym, jak kocha. Nad życie. I o wspólnym szczęściu mówił. Wspólnym szczęściu we wspólnym, dwupokojowym mieszkaniu blokowym, kupionym przez jej ojca. To się nam należy, mówił. Tobie i mnie. Naszym dzieciom. Urodzą się nam dzieci, zastanów się, kochanie, jaka przyszłość je tutaj czeka w tym kolchozie? mówił, całował, pieścili. Porozmawiaj, Anitko – już bez idiotek, łagodnie, czule, wyrozumiale, perswadowująco. Ojca stać na mieszkanie dla nas. Prosta sprawa, tylko musi zażądać spłaty.

Więc porozmawiałam, a jakże – otrząsnęła się Anita, wspominając tamtą rozmowę. Właściwie jej nie było, bo ojciec po wysłuchaniu pretensji wyszedł bez słowa z kuchni. Matka zapytała brutalnie: Ty na to wpadałaś? Czy twój mąż?

Natomiast ja – pomyślała Anita – poczułam się w obowiązku stanąć w obronie swego męża. Nikt mi tu nie będzie na niego napadał, ani go obrażał nędznymi insynuacjami. Żona zawsze powinna mężowi okazywać lojalność, stać przy nim, ramię w ramię, w doli i niedoli. Mąż ma rację: wujek Stefan nie spłacił ojca. Ojcu się należy. Z jakiej racji ojciec ma wujkowi darowywać takie duże pieniądze?

– A z jakiej racji ma je darować tobie? Albo twemu mężowi? – zapytała matka.

Anita westchnęła. Dość tych ponurych wspomnień. Mąż wróci od swojej dziwki, będzie niezadowolony z żony, że nie posprzątała mu jego osobistej garderoby. Koszul nie powiesiła do szafy. Skarpet i gaci nie wyniosła do brudownika w łazience. Moja droga, powie mąż, jakaś ty niechlujna, w pokoju jest wieczny śmietnik.

Moja droga. To ładnie brzmi. Okrągło. Nobliwie. Nawet awantur, jak o idiotkę, urządzić nie można. Moja droga – piękny zwrot. Peten szacunku. Uczucia. Uznania. Co prawda – mi-

Z upoważnienia wydawnictwa „Amber” rozpoczynamy druk fragmentów powieści „Grom” (Lightning) amerykańskiego pisarza Deana R. Koontza. Nazwisko tego słynnego beletrysty nie jest obce czytelnikowi polskiemu, gdyż na naszym rynku pojawił się już jego utwór pt. „Opiekunowie”.

Dean R. Koontz jak chyba nikt inny potrafi kojarzyć elementy podniecającego horroru z science-fiction: powstaje z tego łańcuch wybuchowa mieszanka. Nic dziwnego, że i w tym roku nowa powieść tego autora znalazła się na czele listy bestsellerów USA.

Dzisiejszy odcinek opowiada o narodzinach Laury Shane. Jej przyjściu na świat towarzyszy niezwykle burza. Te gromy będą towarzyszyć całemu życiu dziewczyny, która zostanie sławną pisarką. Są to wszakże gromy niosące śmierć. Kryje się za nią syndykat zbrodni.

W kolejnych odcinkach poznamy tajemnicę tych niezwykłych narodzin.

kf.

W zimową noc, gdy urodziła się Laura Shane, szalała burza i tę osobliwość pogody ludzie zapamiętali na całe lata.

Środa 12 stycznia 1955 roku była zimna, szara i ponura. O zmierzchu gęste, puszyste płatki śniegu zaczęły opadać, wirując, z nisko rozpostartych chmur i mieszkańcy Denver kulili się w oczekiwaniu na zadymkę od Gór Skalistych. Około dziesiątej w nocy przesywając zimny podmuch nadszedł od zachodu, zawył ponad górskimi przełęczami i zaskrzeczał wśród poszarpanych leśnych zboczy. Śnieżynki zmniejszły się, aż stały się drobne jak ziarenka psianki, dźwięczały niczym nacierający piasek, gdy wiatr cisnął nimi o szyby obstawionego książkami gabinetu doktora Paula Markwella.

Markwell zagłębił się w stojący za biurkiem fotel i pił Scotch, aby się rozgrzać. Ale przyczyną dręczącego go uporczywie chłodu nie był zimowy podmuch, lecz wewnętrzne skostnienie umysłu i serca.

Od czterech lat, kiedy jego jedyny synek, Lenny, umarł na chorobę Heinego i Medina, Markwell pił coraz więcej. I teraz, choć miał dyżurować, gotowy na telefoniczne wezwanie ze szpitala okręgowego, sięgnął po butelkę i dołał sobie Chivas Regal.

W oświeconym roku 1955 dzieci dostawały szczepionkę doktora Jonasa Salka i bliski wydawał się dzień, gdy groźba śmierci lub paraliżu spowodowanego przez wirusa polio zostanie całkowicie wyeliminowana. Ale Lenny zaraził się w 1951. na rok przedtem, nim Salk rozpoczął testowanie szczepionki. Mięśnie układu oddechowego chłopca zostały również porażone, a jako komplikacja wywiązało się zapalenie płuc. Lenny nie miał szans.

Od strony wznoszących się na zachodzie gór głuchy grzmot przetoczył się przez zimową noc, ale Markwell nie zauważył tego. Był tak pogrążony w nie odstępającej go nigdy czarnej zgrzyzocie, że często zewnętrzne wydarzenia nie docierały w pełni do jego świadomości.

Dean R. Koontz

GROM

Na biurku stało zdjęcie Lenny'ego. Nawet po czterech latach widok uśmiechniętej buzi synka był dla niego torturą. Powinien był schować fotografię, lecz nieustanna samoudręka, której była narzędziem, stanowiła wybrany przez niego sposób pokuty za własną winę.

Zaden z kolegów Markwella nie wiedział o tym, że pije. Nigdy nie widziano go pijanego. Pomyłki, jakie popełnił przy leczeniu kilku pacjentów, mogły być wyjaśnione naturalnymi przyczynami, toteż nie zaliczono ich do błędów w sztuce lekarskiej. On sam zdawał sobie jednak sprawę, że były to błędy, a spowodowane tym uczucie wstrętu do siebie wywoływało tym większą potrzebę picia.

Ponownie zagrzmiało. Tym razem uświadomił sobie, że to piorun, ale wciąż nie poświęcał temu uwagi.

Zadzwonił telefon. Whisky sprawiła, że był oszołomiony i wolniej reagował, toteż podniósł słuchawkę dopiero po trzecim dzwonku.

- Halo?

- Doktor Markwell? Tu Henry Yamatta. - Głos Yamatty, internisty ze szpitala okręgowego, zdradzał zdenerwowanie. - Jedna z pańskich pacjentek, Janet Shane, właśnie została przywieziona przez męża. Rodzi. Chodzi o to, że zatrzymała ich burza, więc nim się tu pojawili, już poród był w toku.

Markwell napił się, słuchając a następnie spytał - zadowolony, że głos nie brzmi belkotliwie:

- Czy to wciąż pierwsza łąza?

- Tak, ale bóle są zbyt silne i jak na ten etap trwają za długo. Schodzi śluz z krwią...

- To normalne.

- Nie, nie - przerwał niecierpliwie Yamatta - to nie są wody płodowe.

Odejscie wód płodowych stanowi wyraźną oznakę rozpoczęcia się właściwego porodu. Choć Yamatta twierdził, że u pani Shane akcja porodowa jest w toku, Markwell mylił się sugerując, że internista mówi o zwykłym odejściu wód płodowych.

- To jeszcze nie krwotok, ale coś jest nie w porządku - powiedział Yamatta. - Brak skurczów macicy, miednicowe zaparcie, choroba systemowa...

- Nie stwierdziłem żadnych fizjologicznych anomalii, które mogłyby stanowić niebezpieczeństwo w wypadku ciąży - odezwał się ostro Markwell. Wiedział jednak, że mógł ich nie zauważyć... jeśli był akurat pijany. - Doktor Carlson ma dziś dyżur. Gdyby stało się coś złego, zanim się pojawią to on...

- Przywieźli nam właśnie cztery ofiary wypadków, w tym dwie w ciężkim stanie. Carlson ma pełne ręce roboty. Jest pan potrzebny, doktorze Markwell.

- Już jadę. Będzie za dwadzieścia minut.

Markwell odwiesił słuchawkę, dopił whisky i wyjął z kieszeni miętową pastylkę. Odkład zaczął ostro pić, zawsze je nosił przy sobie. Rozwijając papierek i wkładając ją do ust przeszedł z gabinetu przez hall do przedpokoju.

Był pijany, a miał odebrać dziecko i być może spać tę robotę, co zniszczyłoby jego reputację i było końcem kariery, ale nie dbał o to. W gruncie rzeczy oczekiwał na taką katastrofę z rodzajem perwersyjnej tęsknoty.

Nakładał płaszcz, kiedy huk gromu wstrząsnął nocą. Dom zadrżał razem z nią.

Zadygotał i wyrzwał przez okno przy frontowych drzwiach. Drobne, suche śnieżynki klebiły się za szybą; na chwilę zawisły nieruchomo, jakby wiatr wstrzymał oddech - a potem zawirowały na nowo. Markwellowi kilkakrotnie zdarzyło się dawniej słyszeć grzmoty podczas burzy śnieżnej, jednak zawsze grzmiało tylko na początku, a grzmoty były słabe i odległe, nigdy nie sprawiały tak groźnego wrażenia jak teraz.

Błysnęło raz, potem drugi. Padający śnieg zamigotał dziwnie w momentalnym rozblasku, a szyba nagle zmieniła się w lustro, w którym Markwell zobaczył swoją wystraszoną twarz. Następane uderzenie pioruna było najgłośniejsze z dotychczasowych.

Otworzył drzwi i wyrzwał zaciekawiony w kłębiącą się ciemność. Silny wiatr unosił śnieg aż pod dach werandy, miotając nim o frontową ścianę domu. Trawnik pokryty był świeżą, dwulub trzyczalową warstwą białego puchu, podobnie jak gąsienice sosen od strony, z której wiał.

Błyskawica była tak jasna, że go oślepiło. Wydawało się, że straszliwy huk gromu pochodzi nie tylko z nieba, ale i spod ziemi, jak gdyby niebo i ziemia rozwarły się, zapowiadając Armageddon. Dwie wydłużające się i przecinające wzajemnie brylantowe strzały rozdarły ciemność. Zawszą wyskoczyły, drgając i pulsując, niesamowite sylwetki. Cienie balustrady, drzew, bezlistnych krzaków i ulicznych latarni były tak niesamowicie zniekształcone przy każdym błysnięciu, że znany widok wydawał się Markwellowi jakimś surrealistycznym malowidłem; rozjaśnione nieziemskim światłem zwykle przedmioty objawiały się w odmienionych, przerażających kształtach.

Oszołomiony obrazem przecinanego błyskawicami nieba, grzmotami, wiatrem i powiewającymi białymi kurtynami śnieżycy, Markwell po raz pierwszy tej nocy poczuł, że jest pijany. Zastanawiał się, na ile te przedziwne, elektryczne zjawiska były prawdziwe, a ile było w nich jego alkoholowych halucynacji. Przesunął się ostrożnie przez śliską werandę do szczytu schodków, prowadzących na pokrytą śniegiem ścieżkę frontową. Oparł się o kolumnienkę werandy i wyciągnął szyję, żeby spojrzeć w górę na rozrywane błyskawicami niebios.

Kilka następujących po sobie błysków sprawiło, że trawnik i ulica zdawały się podskakiwać, niczym kadr filmu wyświetlanego przez zacinający się projektor. Wszystkie kolory spłyły, pozostało tylko oślepiające światło błyskawicy, bezgwiezdne niebo, połyskliwa biel śniegu i atramentowa czerni drżących cieni.

Kiedy w oszołomieniu i strachu spoglądał na to niezwykle widowisko, niebios rozdarło następne poszarpane pęknięcie. Grot wymierzonyj w ziemię gorejącej strzały dotknął żelaznej lampy ulicznej, stojącej zaledwie sześć stóp od Markwella. Krzyknął przerażony. Od spowodowanej przez grzmot wibracji zadzwoniły mu zęby; podłoga werandy zatrzęsiała. W zimnym powietrzu natychmiast rozszedł się zapach ozonu i smród gorącego żelaza.

Cisza, spokój i ciemność powróciły. Markwell przełknął miętówkę.

Na werandach wzdłuż ulicy pojawili się zdumieni sąsiedzi. Albo, być może, znajdowali się tam przez cały czas, a on dostrzegł ich dopiero teraz, kiedy powrócił względny spokój. Paru z nich podreptało po śniegu, by z bliska zerknąć na zlaną lampę, której żelazne zwieńczenie było na pół stopione. Rozmawiali między sobą i odzywali się do Markwella, ale on nie odpo-

POWIEŚĆ

AUTOR ŚWIATOWYCH BESTSELLERÓW
ZŁE MIEJSCE I OPIEKUNOWIE

DEAN R. KOONTZ



wiadął. Wstrząsające widowisko nie otrzeźwiło go. W obawie, że sąsiedzi odkryją jego stan, wycofał się z werandy i wszedł do domu. Oprócz tego nie miał czasu na pogaduszki o pogodzie. Powinien zająć się ciężarną kobietą i rodzącym się dzieckiem.

Usiłując odzyskać samokontrolę, wyjął z garderoby wełniany szal i owinał wokół szyi, krzyżując go na piersiach. Ręce mu drżały, palce miał lekko zeszywniałe, ale udało mu się zapiać płaszcz. Wstrzymując przyływ nudności naciągnął kalosze.

Opanowało go przeświadczenie, że niezwykle jak na tę porę roku wyładowania niosły dla niego przekaz o jakimś specjalnym znaczeniu. Był jak znak, omen. Nonsens, to whisky go tak zwodzi. Ale uczucie pozostało, kiedy szedł do garażu, podnosił drzwi i cofał samochód na podjazd. Zimowe opony, owinięte łańcuchami, trzeszczały i pobrzękiwały delikatnie na śniegu.

Kiedy przesunął dźwignię biegów na luz, zamierzając wyjść i zamknąć garaż, ktoś silnie zastukał w boczną szybę od strony kierowcy. Przestraszony Markwell podniósł głowę i zobaczył jakiegoś mężczyznę, który nachylony spoglądał przez okno samochodu.

Nieznamy wyglądał mniej więcej na trzydzieści pięć lat. Miał wyraziste, przyjemne rysy twarzy. Nawet przez częściowo zaporowaną szybę widać było, że to przystojny mężczyzna. Nosił ciężką, jakby marynarską kurtę z podniesionym kołnierzem. W mroźnym powietrzu z nozdrzy buchała mu para, a kiedy się odezwał, jego słowem towarzyszyły białe obłoczki oddechów.

- Doktor Markwell?

Markwell opuścił okno.

- Tak.

- Doktor Paul Markwell?

- Tak, tak, przecie mówię... Ale dziś wieczór nie przyjmuję. Spiesz się do pacjentki w szpitalu.

Obcy miał niezwykle niebieskie oczy, kojarzące się Markwellowi z obrazem czystego, zimowego nieba, odbijającego się w cieniutkiej na milimetr warstwie lodu, pokrywającej świeżo zamrażnięty staw. To były piękne, przykuwające uwagę oczy, ale dostrzegł od razu, że były to również oczy człowieka niebezpiecznego.

Zanim Markwell zdolał wrzucić bieg i tyłem wyjechać na ulicę, gdzie mógłby rozejrzeć się za ratunkiem, mężczyzna w grubej kurtce wepchnął przez otwarte okno pistolet.

- Tylko bez głupstw.

Gdy wylot lufy wbił mu się w miękkie ciał pod podbródkiem, lekarz ze zdziwieniem poczuł, że nie chce umierać. Od dawna oswoił się z myślą, że jest gotów na przyjęcie śmierci. Jednakże teraz, zamiast pogodzić się z tym, że ist-

nie w nim jeszcze wola życia, odczuł przyływ wyrzutów sumienia. Chcieć żyć - to oznaczało zdradzić syna, z którym mógł się połączyć tylko po śmierci.

- Niech pan zgasi światła, doktorze. Dobrze. Teraz silnik.

Markwell wyjął klucz ze stacyjki.

- Kim pan jest?

- To nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma. Czego chcesz? Co masz zamiar ze mną zrobić?

- Rób, co mówię, a nic ci się nie stanie. Jeśli spróbujesz uciekać, rozwałę ci ten cholerny łeb, a potem, dla samej frajdy, właduję cały magazynek w twoje zwłoki.

Głos miał miękki, pobrzmiwający nieco wysiłonym zadowoleniem, ale zdecydowany.

- Klucze.

Markwell podał mu je przez otwarte okno.

- Teraz wylaz.

Powoli trzeźwiejąc Markwell wygramolił się z wozu. Wiatr z furją uderzył go w twarz. W obronie przed drobnym śniegiem musiał zmrużyć oczy.

- Zanim zamkniesz drzwi, podnieś szybę. - Obcy naparł na niego, blokując drogę ucieczki.

- Dobrze, bardzo dobrze. Teraz, doktorze, chodź ze mną do garażu.

- To wariatwo. Co...

- Ruszaj się!

Obcy stał obok Markwella, ściskając jego lewe ramię. Gdyby obserwował ich ktoś z sąsiedniego domu czy z ulicy, parał i padający śnieg ukryłyby broń.

W garażu, posłuszny wskazówkom obcego, Markwell zamknął wielkie drzwi.

- Jeżeli chcesz pieniędzy...

- Zamknij się i włącz do domu.

- Postuluj, moja pacjentka rodzi w okręgowym...

- Jak się nie zamkniesz, to kolbą tego pistoletu wybiję ci wszystkie zęby, żebyś przestał gadać.

Markwell wierzył mu. Mężczyzna był wprawdzie jego wzrostu, to znaczy miał około sześciu stóp i ważył jakieś sto osiemdziesiąt funtów, ale był niebezpieczny. Jego jasne włosy ściał topniejący śnieg. Z kropelkami wody spływającymi po czole i policzkach, wydawał się tak pozbawiony ludzkich cech, jak jedna z lodowych rzeźb stawianych podczas zimowego karnawału. Markwell nie wątpił, że gdyby doszło do użycia siły, obcy z łatwością pokonałby każdego przeciwnika, zwłaszcza gdyby nim był kilkudziesięcioletni, niezbyt wygimnastykowany, a w dodatku pijany lekarz.

Cdn.